

Maciej Waszczyk

Opowiadania

z lat 1993 - 2009

Lublin - Gdynia – Tokio - Palermo

SPIS TREŚCI

KONIE W PICKDAWON	3
WSZECHŚWIAT	53
BRACIA	61
GRACZ	68
LAST MINUTE	76
DŁUGI KORYTARZ.....	82
KOLACJE	89

KONIE W PICKDAWON

(1993)

Jonatan Kowan zawahał się. Jeśli pójdzie w stronę widniejących w oddali zabudowań miasteczka, będzie zmuszony zmagać się z burzą gradową w otwartym terenie. Jedynym rozsądnym wyjściem jest zatem schować się do wnętrza starego paśnika, przy którym właśnie przystanął. Grad nie będzie trwał długo, ale o tej porze roku, gdy już się pojawia, to młóci gradami lodu wszystko, co nie ma na tyle rozumu by się ukryć w bezpiecznym miejscu. Jonatan pokromił głód, który odezwał się na myśl o bliskości domu i sapiąc wspiał się na koślawe rusztowanie z okorowanych drągów. Siadł ciężko na zatęchłe resztki siana zmieszanego z liśćmi i słuchał łoskotu spadającego z nieba na pokryty przerdzewiałą blachą dach.

Myśl o kolacji odeszła, przykucnął i wpatrywał się w szybko zapadającą ciemność. Zobaczył w niej sylwetkę kobiety, która przybyła wraz z mężem z zachodu, by zamieszkać w jednym z pustych domów jakich nie brakło w osiedlu. Kowanowie też tak zaczęli. Długo chodzili po tych kilku ulicach tam i z powrotem, zanim zdecydowali się na średniej wielkości dom otoczony, na ile to było możliwe, innymi zabudowaniami. To było kilka lat temu, teraz pustych domów jest już niewiele, a te w pobliżu centrum miasteczka niezależnie od ich stanu były już od pewnego czasu zamieszkałe.

Ciekawe jak nowi się nazywają i jak chcą zarabiać na życie. Pracy w tartaku nie brakuje, ale najbardziej przydałby się garbarz. Tak, Kowan nie musiałyby wtedy wyprawiać sam tych przeklętych skór, za to więcej czasu mógłby poświęcić obchodzeniu zastawionych przez siebie sideł i wnyków. Mógłby to robić na tyle uważnie i bez pośpiechu, że nie płoszyłyby zwierząt na swojej drodze, ale je podchodził i strzelał do nich. Tak, wtedy kupiłby w magazynie porządny sztucer i polowałby.

Pogrążył się w marzeniach, w których krążył po bliżej nieokreślonej dolinie i tropił zwierzęta. W swojej wyobraźni zapuścił się daleko na północ z psami, aby móc przyciągnąć zdobycz. Kowan był mocnym mężczyzną i na pewno dałby radę takim samotnym wyprawom. Na myśl o swojej sile wyprostował zgarbione plecy, ale zaraz skulił je z powrotem. Tarł intensywnie głowę ręką w miejscu, gdzie zetknęła się z dwucalowym gwoździem wystającym z belki powały. Wymacał go i przymierzył kolbą dubeltówki by zagiąć go w drugą stronę, ale po chwili zaniechał tego.

Na zewnątrz było ciemno, lecz grad już nie padał. Poprzez strugi ulewnego deszczu widział kilka świateł miasteczka oddzielonego od niego lasem młodych brzoź. Połamane od gradu sprawiały, że były jeszcze mniejsze niż wskazywałyby na to ich wątle pnie. Zeskoczył na ziemię, podjął porzucony pęk powiązanych królików i skierował swoje kroki w kierunku domu.

*

Kedrowy Las kończył się w tym miejscu. Gren prawie dotykał wilgotnym nosem kaskad żółtych, lancetowatych liści, poza którymi przeczuwał obecność Góry Szapoka. Jeśli teraz zawróci może nic się nie stanie. Zapomni po prostu, że doszedł aż tutaj i nikt nigdy się nie dowie, iż złamał zakaz zbliżania się do tego miejsca. Pochylił ciężko głowę i czarna jak dym mieszanina wątpliwości i nadziei na zaspokojenie ciekawości zaczęła dusić go gdzieś wewnątrz.

Już miał zawrócić kiedy usłyszał nad sobą trzask rozdzieranego listowia i łamanych gałęzi. Obok niego głucho uderzyło w poszycie lasu coś, co znał aż nazbyt dobrze. Jeżeli szybko się gdzieś nie schowa ciężki i twardy grad połamie mu kości. Nie miał na to ochoty więc nerwowo rozejrzał się wokół. Żadnych szans. Smukłe i chwiejne pnie drzew nie dawały schronienia. Jedyłą nadzieją była niewiadoma, która mogła oznaczać bezpieczeństwo. Wyciągnął przed siebie krótkie, pokryte rudym włosem ręce i zaczął biec w kierunku granicy lasu. Rozgarnął nerwowo liście.

W jaskini, którą znalazł było ciemno, sucho i pachniało czymś znajomym. Gren nie zastanawiał się jednak co to za zapach. Patrzył na zewnątrz oparty o zimną ścianę i podziwiał

siłę z jaką grad mlócił krajobraz. Takie ataki z nieba nie były na szczęście zbyt częste i trwały krótko, ale szkody powstałe w ich wyniku nie dawały się szybko naprawić. Rośliny odrastały zatraciwszy pierwotną dziewiczość kształtów, zwierzęta umierały, albo powracały do zdrowia z ciałem pokrytym ranami i guzami...

— Mamo, czy to był taki grad, jaki padał przed chwilą za oknem ? — Eli Kowan świdrował czarnymi oczami twarz czytającej mu matki a głęboka zmarszczka na dziecięcym czole świadczyła o powadze zadanego pytania.

— Tak, taki sam — kobieta podniosła się i rozchyliła zasłony. Niewiele było widać, słyszeć było tylko szum deszczu.

— W takim razie jego mama niepokoiła się, że stanie mu się krzywda, prawda? — mały nie dawał spokoju.

Kobieta nie odpowiedziała, skierowała swoje kroki w stronę kuchni. Otworzyła drzwiczki od pieca i dołożyła kilka szczap drewna. Nalała wody do stojącego na blasze garnka i wsypała zbożowej kawy.

— Mamo... — Eli oparł głowę o framugę kuchennych drzwi.

— Tak, jego mama niepokoiła się. Idź do spiżarni i przynieś garnuszek z tłuszczem z półki koło drzwi.

— Ale ja nie dosięgnę.

— Dosięgniesz. Masz rączki? Weź stołek to dosięgniesz.

— O jaaa... — rozdzierające westchnienie wydostało się z płuc chłopca, ale szybko urwało się na widok niezbyt zadowolonego wzroku matki.

Mały sięgał właśnie po stołek, gdy rozległo się szuranie w sieni.

— Tata! — rzucił się na klamkę do drzwi i za chwilę ciągnął po podłodze ociekający wodą i krwią pęk królików.

— Nie tutaj! Nie tutaj! Pobrudzisz.... Jonatan, powiedz mu bo nie mam już siły. Czemu tak długo, zawsze wracasz przed zmrokiem.

— Grad mnie złapał przy paśniku. Gdzie zamieszkali ci nowi? — wysiłek w głosie mężczyzny z głębi sieni świadczył o tym, że właśnie ściąga buty.

— Tato, Grena też złapał grad, tylko że znalazł jaskinię! — Eli rozcapierzył palce nad głową i zrobił duże oczy.

— Miałeś przynieść garnuszek z tłuszczem! — przerwała mu pani Kowan. — Ale to już! I zabierz te króliki z powrotem do sieni! I wytrzymaj podłogę!

— To co mam w końcu zrobić? Przecież się nie... aaa... — mężczyzna podniósł syna z ziemi i posadził na kolanie.

— Pamiętaj, że każdy Kowan pomaga mamie, a teraz idź zrobić co kazała.

— Już nie trzeba, sama przyniosłam co chciałam, tylko zabierzcie stąd te króliki — kobieta postawiła kubki z nalaną gorącą kawą na kuchennym stole, pierwszą porcję placków i mus z owoców pigeli.

Były to dość drobne owoce, żółte i pomarańczowe o słodko-kwaśnym smaku. Ludzie zbierali je w zagajnikach krzewów na granicy skał. Wybornie smakowały z plackami kukurydzianymi. Ziarno na mąkę sprowadzał zza gór dużymi transportami pan Gumn, przybysz z północy. Handlował głównie deskami i kantówkami wycinanymi z drzew w miejscowym tartaku, a także meblami wytwarzanymi przez stolarzy.

— No więc gdzie zamieszkali ci nowi? — Kowan powtórzył pytanie gdy zaspokoił pierwszy głód.

— Lunsch, tak się nazywają. Wzięli ten piętrowy dom przy lesie — kobieta zsunęła na talerz męża następną porcję placków.

— Bardzo dobry wybór. Dziwię się, że do tej pory nikt tam nie zamieszkał. Las stanowi doskonałą osłonę przed północnymi wiatrami. Musiał ktoś mądry im doradzić. Tak, sami by na to nie wpadli. Jaki on ma zawód?

— Nie wiem. Nie rozmawiałam z nimi i nie pytałam o to pani Gumn — zająknęła się jakby powiedziała coś nie tak.

— Znowu byłeś w składzie. Mam nadzieję, że nic nie wzięłaś na nasze konto. Wiesz, że...

— Tato, poczekaj, pokażę ci... — Eli nagle wykrzyknął i wybiegł z kuchni do pokoju. Wrócił by pokazać ojcu kolorową książkę, Jonatan wziął ją do ręki i z zaciekawieniem oglądał kolorowe obrazki.

— Eli, przeczytaj tytuł — ojciec polecił, ale chłopak odwrócił się bezradnie w stronę matki.

— To dla mnie za trudne, mamო przeczytaj tacie.

Kobieta popatrzyła niepewnie w stronę męża, ale ten tak był zajęty oglądaniem obrazków, że zapomniał o nieprzewidzianym uszczerbku w stanie ich konta w magazynie.

— *Gren i skalna kraina* — wymówiła tytuł książki.

— Ładnie, przeczytasz nam? — Jonatan rzucił w stronę żony.

— Tak, oczywiście Jona. Kobieta usiadła przy piecu i zaczęła czytać.

Przypomniał sobie osadę, którą opuścił przed dwoma dniami. Domy z wkopanych w ziemię bali z twardego drewna stanowiących mocne oparcie dla uplecionych z korzeni dachów stały poprzdzielane dużymi obszarami pustej przestrzeni. Gdziekolwiek tylko grunt wybrzuszał się nieregularnie świadcząc o tym, że w tym miejscu mieści się ziemianka pełna smakołyków ukrytych tam przez właściciela, z którego domu prowadził do niej podziemny tunel.

Nie pierwszy raz oddalił się samotnie na tak długo. Nie miał ochoty na brak towarzystwa, ale jego rówieśnicy nigdy nie rozumieli podniecenia, które on odczuwał na myśl o współzawodnictwie, hazardzie i poznawaniu rzeczy zakazanych. Woleli dorastać coraz bardziej stając się replikami swoich zapobiegliwych i małostkowych rodziców.

Matka nigdy nie broniła mu łazikowania i zbijania bąków. Dziwne, przecież to ona powinna nakłaniać go do dbania o to, żeby wszyscy naokoło nie wskazywali go jako wzór złego postępowania. Jednak nie robiła tego, a on wykorzystywał to skrzętnie dla pobłażania swoim złym nawykom. Przymknął powieki, a przed jego oczyma pojawił się masyw paleniska w ich domu obrysowany niezrozumiałymi dla niego znakami. Miały ciepłe kolory i uspokajający kształt.

Kiedy się ocknął na zewnątrz zaczynało zmierzchać. Niewiele widział, ale jednego był pewien. Nie mógł się podnieść! Nie mógł przekrócić głowy! Czuł, że jego ramiona i tułów są objęte jakby kleszczami, na tyle jednak miękkimi, że nie czuł bólu. Spróbował spojrzeć w bok bez przekręcania głowy. Wrzask, który wydobył się z jego piersi wstrząsnął z pewnością podstawami góry, która najwyraźniej wciągała go w siebie. Zachodzące poza Kedrowy Las słońce ostatnimi promieniami odbijało błękitne i czerwone refleksy na gładkiej, skalnej ścianie, z której wystawała tylko jego twarz i nogi. Splecione na piersi dłonie były prawie niewidoczne pod skałą.

Zapadła całkowita ciemność kiedy Gren przestał wrzeszczeć. Nie miał już wątpliwości, że starszyna plemienia miała rację zabraniając komukolwiek kierować swoje kroki na wschód od rzeki, za którą rósł Kedrowy Las. Mówili, że nawet spoglądanie na wierzchołek Góry Szapoka, widoczny przy ładnej pogodzie nad lasem, może ściągnąć na wioskę niebezpieczeństwo nieznanym czarów. Na myśl o czarach, które musiały przyczynić się do jego obecnego położenia Gren zaczął wierzczać nogami. Tumany kurzu, które wzbil w powietrze dość szybko przerwały jego wysiłek powędrowania do domu w kawalku. Kichał i charczał dopóki kurz nie opadł.

W czasie Nocy Korzeni, najważniejszego dorocznego święta ich plemienia zasiadali wokół Świętego Paleniska, jedli najdelikatniejsze korzenie turzyc zbierane o świcie na moczarach i słuchali opowieści Brata Kardueana. Nikt w wiosce nie pamiętał dnia jego narodzin. Niektórzy powiadali, że w młodości był uczestnikiem Wojny CZa. Jeżeli byłaby to prawda znaczyłoby to, że żył od bardzo, bardzo dawna, a jego umiejętności leczenia i wrózenia znalazłyby swoje usprawiedliwienie. Ta wojna polegała na staczaniu bitew między poszukiwaczami magicznego dziedzictwa a wojownikami. Tak przynajmniej mówiono.

Brat Karduean nie wyglądał na czarnoksiężnika. Przeciwnie był najzwyczajszym przedstawicielem plemienia Tkiomalów, i z racji pełnienia roli szamana i ojca wcale nie był bardziej dostojny i powściągliwy. Jego prawie niewidoczne pośród licznych fałd mlecznobiałej skóry czarne oczy patrzyły na świat z dziwną mieszaniną naiwności i chytryści. Rzadkie owłosienie pokrywało całe krępe ciało i gęstniało na krótkich kończynach. Głęboko osadzona głowa miał nieregularny kształt, a najbardziej zauważalnym przy pierwszym spotkaniu dla obcych elementem twarzy był duży, różowy i wilgotny nos pocięty mozaiką zakamarków i otworów.

Właśnie posiadanie takiego nosa było dumą i chlubą każdego członka plemienia. Służył on do poszukiwania jedyne wartościowego pożywienia. Słodkie i gorzkie korzenie ziół, cierpkie korzenie drzew, miękkie i ślimaczące korzenie wodnych roślin stanowiły obiekt pożądania każdego prawdziwego Tkiomala. Byli potomkami ludzkiej rasy, tak jak i inne plemiona, ale w przeciwieństwie do nich nie cierpieli mięsa. Widok i zapach surowego mięsa stanowił widok bardziej obrzydliwy niż cokolwiek na świecie. Nie, Brat Karduean nie mógł być czarnoksiężnikiem chociażby z tego powodu, że podczas zdobywania wiedzy o magii niejednokrotnie jej adepci musieli pić krew i jeść wnętrzności zwierząt...

Nagle zgasło światło. Jonatan wyrwał się z zasłuchania.

— Dzisiaj już tego nie naprawię. Cholerna prądnicą, muszę lepiej zabezpieczyć ją przed deszczem.

Kowanowa zapaliła lampę naftową i wytarła ręce w spódnicę. Rozniósł się charakterystyczny zapach. Zapas nafty, którym dysponowało miasteczko nie był zbyt duży, ale wystarczający żeby nie myśleć, że może jej zabraknąć. Tam, gdzie dolina otwierała się na wschód stała kiedyś stacja przekaźnikowa rurociągu i mimo, że została zniszczona, to pod wybetonowanym placem zachowało się kilka zbiorników nafty.

Prądnicę zresztą napędzali głównie wiatrakami, rzadziej silnikami parowymi, więc nie szło zbyt dużo paliwa, jak mawiał Burmistrz: tyle co do natarcia pleców.

— No tak — pani Kowan westchnęła zdejmując chustkę z włosów, usiadła obok męża, oparła głowę na zaciśniętych pięściach i zaczęła wpatrywać się w nierówny płomień za brudną szybką lampy. Wsłuchiwała się w równy oddech syna, który zmęczony usnął na ławie.

Jonatan objął ją i powąchał włosy pachnące mydłem i octem. Ogarnęło go pożądanie. Wsunął rękę pod jej bluzkę i międlil w dłoni miękką pierś. Myślał jednak o kimś innym. Pani Lunsch była stanowczo zbyt ładna, aby o niej nie myśleć. Machnął drugą ręką jakby odganiał natrętą muchę i odłamał z postawionego na stole talerza kawałek placka z kolacji, po czym włożył go w usta żony.

*

Wincent Lunsch wspiał się po połamanych schodach na strych domu, który zajęli razem z Koran. Dobrze, że wczoraj zdołali rozładować wóz z dobytkiem zanim spadł ten grad. Zresztą deszcz, który przyszedł zaraz potem i aż do teraz padał też nie pozwoliłby na wydobycie spod plandek zbyt wielu rzeczy. Badał uważnie dach czy nie przecieka. Byłoby dziwne, gdyby opuszczony tyle lat temu dom nie niszczał. Istotnie, w dwóch miejscach dach nieznacznie ciekł, w jednym jednak woda lała się jak z pompy przy studni. Lunsch znalazł kawałek ocynkowanej blachy, stare wiadro i przy pomocy rusztowania z połamanych mebli skierował strumień wody prowizoryczną rynną poza okienko, którego nie potrzebował otwierać, gdyż było wybite.

Podłoga była przegniła i zagrzybiona. Także cała ściana kominowa, po której też ciekła woda. Właśnie — komin — przecież po to tutaj przyszedł! Otworzył ostrożnie przerdzewiałe drzwiczki, jakby bał się nieznanym lokatorów, którzy mogli być niegościnni. Komin jednak wyglądał na niezamieszkały, włożył do środka głowę i popatrzył do góry. Nikłe światło wskazywało na to, iż w tym kierunku jest drożny, a w dół? Spuścił przywiązany do przyniesionej przez siebie liny mosiężny świecznik. Metr, dwa, pięć, poczuł zwiótczenie sondy. Wyciągnął świecznik z powrotem razem z kilogramem pajęczyn, wysuszonych pajaków i

skorupek ich ofiar. To budziło nadzieję na ciepło. Zaraz, mimo deszczu, pojedzie do tartaku, który zauważył po prawej ręce, gdy wjeżdżał wczoraj pomiędzy domy.

Myśl o ciepłe spowodowała, że zszedł na parter, badając po drodze stan okien. Szpary, brak szyb — na razie pozabija deskami. Cholernie dużo roboty. Otworzył blachę od pieca i włożył zgniecione w kule, zadrukowane karty papieru, które leżały na stosie pod stołem. Jedną wziął do ręki i przyjrzał się jej uważnie. Cyfry były podobne do tych, które znał, ale litery były dziwne. Była wydrukowana dawno temu, wtedy się pewnie urodził, nie wie zresztą kiedy, przecież to nieważne.

W kuchni zaczął grzebać w stosie walizek i wyjął z jednej z nich zapalniczkę. Poczł zapach nafty, gdy ją zapalił. Papier zajął się, ale komin cugu od razu nie złapał. Dokładał stare gazety, aż powietrze w kominie ogrzało się i płomień zaczął huczeć. Gdy włożył ostatnie gazety rozejrzał się po kuchni, w kącie zauważył skrzynkę z wysuszonymi na pieprz szczapami drewna, wiedział, że na długo nie starczy.

— Koran, jadę po opał — rzucił w stronę pokoju, gdzie spędzili tę noc. W drzwiach pojawiła się zaspana kobieta otulona w dwa koce. Czarne, tłuste włosy były rozrzucone beładnie wokół drobnej, bladej twarzy.

— Dobrze Wincent, sprawdź po drodze..., o ogień! — w jej oczach pojawiła się radość — a tak się martwiłeś, zobaczysz, że się uda. Zrobimy z tego domu ciepłutkie gniazdko, zobaczysz.

Przysunęła się do niego, stanęła na palcach. Pocałował ją w czoło i objął rękami.

— Idę zaprzęgnąć konie — powiedział, poczym otworzył drzwi na zewnątrz i zeskoczył z werandy w gęsto porastające podwórze chaszczce. Zagadnął do koni stojących pod przeciekającym okapem drewnutni i zaprząwszy je do wozu skierował na drogę.

— Dzień dobry panie..., ee... przepraszam...

— Lunsch, Wincent Lunsch — mężczyzna zatrzymał wóz, zeskoczył z niego i podszedł do werandy domu, na której stał zgarbiony, gruby człowiek ze skośnymi oczami i okrągłą twarzą o żółtej cerze. Wyglądał na starego. Starszego przynajmniej niż większość z tych, których znał.

— Nazywam się Gumn, Hen Gumn — mówił w dziwny sposób. Przeciągał słowa pod językiem jak ślinę przed splunięciem. Znaczenia niektórych z nich Wincent raczej się domyślał niż je rozumiał.

— Sprowadzam jedzenie i towary z za gór na południu. Tam jeszcze ziemi rodzą jakieś zboże, nie tak jak na zachodzie.

— Był pan, panie Gumn na zachodzie? — zainteresował się żywo Lunsch.

— No nie, ale wiele słyszałem... .

— Ja przyjechałem stamtąd. — Zrobił półobrót i popatrzył na nieregularny, wyszczerbiony rząd drewnianych domów po obu stronach drogi przecinającej dolinę.

— Tak... — Gumn zmrużył oczy jeszcze bardziej, choć wydawałoby się, że to niemożliwe. — To co masz pan do zamiany, co będziesz tu robił?

— A co można tu robić?

— Tartak. Pracować w tartaku. Większość, co nie potrafią nic innego pracują w tartaku. Na południu uprawiają zboże, ale nie ma drzew. Jak coś wyrośnie to zaraz wrywają do ostatniego korzonka. A tu są drzewa. Dużo drzew, starczy jeszcze na wiele lat. Na zachodzie, jak słyszałem, nie ma drzew? — Stary człowiek zaczął nabijać niewielką fajkę. Po chwili rozniósł się swąd palonej kory brzozonej i..., tak Lunsch się nie mylił, tytoniu.

— Nie ma, drzew nie ma. — Lunsch stracił ochotę do rozmowy. — Do zobaczenia panie Gumn. Jadę po opał do tartaku.

Gumn uniósł rękę z fajką w geście pożegnania, ale nic nie powiedział. Wincent usiadł na wozie i smagnął konie batem. Znalazł je po drodze, gdy wędrowali w te strony. Były dzikie, wynędzniałe i głodne. Za jedzenie dały się okiełznać. Pomogły mu w zbieraniu dobytku.

Czasem coś się znalazło: siekierę, kufer z ubraniami, broń, amunicję, fotel. Ogarnęły go posępne myśli i wspomnienia.

Lunsch wjechał na teren tartaku. W pobliżu głównego budynku stała stara lokomotywa, z jej komina wydobywały się kłęby pary i dymu. Jak się domyślił pełniła rolę agregatora. Bez prądu elektrycznego w tartaku nie chodziłyby maszyny konieczne do wydajnej produkcji listew, desek i kantówek, tak poszukiwanych na południu. Nieźle im się powodzi — pomyślał.

Z budynku wyszedł mężczyzna, w ręku trzymał parasol, ale go nie otworzył.

— To ty jesteś nowy, co? — Jego piskliwy głos drażnił Lunscha, ale twardy akcent wydał mu się dziwnie znajomy.

— Tak. Lunsch, Wincent Lunsch się nazywam.

— A ja Walden Bach, ale w mieście mówią na mnie Paluch. — Uniósł w górę dłoń posiadającą tylko kciuk. — Straciłem je jak rozruszałem pierwszą maszynę w tym pieprzonym tartaku, ale do rzeczy, pewnie szukasz roboty, co?

— To też, ale najpierw chciałem dostać trochę opału — Lunsch spojrzał na widniejącą pod ścianą kupę obrzynków i trocin.

— Mała zaliczka, co? — Paluch podszedł bliżej wozu. Poklepał jednego z koni po karku.

— Gdzieś znalazł takie porządne konie, co? Trochę trudne tu warunki jak na konie ale ściągać drzewo z lasu mogą.

Lunschowi zrobiło się żal koni, ale wiedział, że z czegoś musi żyć.

— Kiedy?

— Jak się urządzisz, powiedzmy za trzy dni, a teraz załaduj ile dasz radę — machnął ręką w stronę sterty. — Każdy mieszkaniec może brać według potrzeby o ile pracuje, ale w przeciwnym razie musi płacić. Pamiętaj, żebyś nie musiał przywozić tego z powrotem.

— Nie ma obawy, odpracuję. Tyle, że trzy dni o tej porze roku to krótko, coraz krócej...— Paluch już jednak tego nie słyszał, ponieważ szybkim krokiem zmierzał w stronę budynku. Nie bawił się nawet w omijanie kałuż, ale brnął przez nie jakby sprawiało mu to przyjemność, na dodatek otworzył parasol, mimo że i tak był już kompletnie mokry.

— Może jesteś garbarzem? — Wincent usłyszał za sobą głos. Odwrócił się. Miał przed sobą rosłego mężczyznę w swoim wieku, może trochę starszego. Jego twarz pokrywał gęsty zarost. Przez ramię miał przewieszoną dwururkę.

— Garbarzem?

— No, garbarzem.

— Nie, pewnie będę pracował w tartaku.

— No tak, masz konie, Paluch nie przepuściłby takiej okazji.

Pewnie te obrzynki dał ci na zaliczkę, ale nie przejmuj się, całe miasto je bierze za darmo — nieznajomy wyszczerzył zęby, ale się nie uśmiechnął. — Więc nie jesteś garbarzem?

Lunsch ładował opał na wóz. Był mokry i zziębnięty.

— Pomogę ci, a ty podrzucisz mi kilka desek pod dom, to po drodze, muszę naprawić dach od agregatora — Lunsch nie odpowiedział tylko skinął głową.

Kiedy zajechali pod dom nieznajomego i ten zrzucił z wozu swoje deski powiedział, że się nazywa Kowan i że następnego dnia wieczorem Lunsch może przyjść do niego ze swoją kobietą na kolację. Lunsch ucieszył się z tego, że będzie mógł porozmawiać o tym jak wygląda życie w miasteczku i się zgodził. Miał nadzieję, że Koran zaprzyjaźni się z panią Kowan, gdyż bardzo doskwierał jej brak towarzystwa podczas ostatniej wędrówki. Kobiety muszą przebywać w towarzystwie innych kobiet i Lunsch to rozumiał, chociaż starał się przecież być dla niej przyjacielem. Niestety zbyt milczącym.

Smagnął konie batem i pozwolił powrócić do siebie ponurym wspomnieniom. Całe jego życie nie było przyjemne, urodził się w dziwnych czasach, przez pierwsze lata poza niemą matką nie widział innych ludzi. Myślał, że on i matka to cały świat. Szperali właśnie po okolicy w poszukiwaniu czegoś do jedzenia kiedy natknęli się na grupę na wpół zawałonych zabudowań, matka weszła w otwór jednego z domostw. Kiedy umilkł huk walonych ścian i opadł pył, a matka nie wychodziła ze środka przez kilka dni, zaczął szukać jej stopniowo oddalając się od zabudowań. Spotkał pierwszych ludzi, nakarmili go i mu pomogli. Było ich tak mało, że woleli sobie pomagać, niż się zabijać. Nauczyli go mówić językiem, który był zlepkiem różnych języków, potem spotkał Koran. Odtąd wędrowali razem, aż dotarli tutaj. To Koran odczytała jego imię i nazwisko z kartki którą dostał od matki, Koran lubiła wymyślać różne rzeczy, była starsza od niego i znała z dzieciństwa dużo bajek. Opowiadała mu je, a kiedy się im znudziły wymyślała nowe, sama, on nie potrafił nic wymyślić, nie wiedział co było tego powodem, ale nie potrafił. Potrafił tylko milczeć i słuchać. Nie potrafił nawet powtórzyć sobie tych bajek, kiedy był sam.

Zatrzymał wóz przed ich nowym domem i wszedł do środka, był głodny. Z kuchni dobiegł go głos rozmawiającej ze sobą Koran. Zrzucił na podłogę naręczce obrzynków. Koran pocałowała go mocno w usta i podniosła na wysokość jego twarzy łyżkę z kawałkiem mięsa wyłowionym z garnka, poczuł ostry zapach zająca. Ustrzelił go zanim tutaj dotarli.

— Był tutaj mężczyzna, który przedstawił się jako Burmistrz — Koran odwróciła się by zamieszać w garnku.

— Mmm...? Co chciał? — Wincent przełknął kęs mięsa.

— Spytał się czy wszystko w porządku i powiedział, że jeśli potrzebujemy czegoś, jakichś materiałów do reperacji domu, to masz się zgłosić do niego.

— Damy sobie radę, chciał coś jeszcze? — mężczyzna sięgnął łyżką do garnka po jeszcze jedną porcję.

— Nic, zaraz poszedł, tylko się porozglądał — Koran splotła ręce na piersiach. — Widziałeś ludzi?

Czekał na to pytanie.

— Trochę... — usłyszała niewyraźne mruknięcie.

— Długo tu mieszkają? Są jacyś starsi? — Koran nie dawała spokoju.

— Deszcz pada, niewiele widziałem, idę do koni. Trzeba pomyśleć dla nich o czymś na zimę, porozglądam się.

— Porozglądaj się — Koran odprowadziła go wzrokiem do drzwi, a gdy wyszedł popatrzyła na schody. Czemu jeszcze nie była na górze, dziwne, powinna poznać swój dom. Tam skąd przybyli domy były zniszczone, a te które ocalały zamieszkiwali ludzie, było ich niewiele, ale domów było jeszcze mniej. Czasem mieszkali jakiś czas z innymi, ale chcieli znaleźć coś tylko dla siebie, dlatego dotarli aż tutaj.

Schody skrzypiały, poczuła zimno bijące od nie ogrzanych ścian, wszystko przykryte grubą warstwą kurzu, pod oknami mokra podłoga, porzucane ubrania i naczynia. Nieraz musieli przychodzić tu ludzie, aby znaleźć coś dla siebie. Przełamany na wpół talerz, obok głowa lalki oderwana od korpusu — zszyje i będzie miała do kolekcji. Gdy podnosiła ją z ziemi głowa się rozsypała w chmurę pyłu z siana i trocin. Teraz dopiero dojrzała jak dużo na podłodze wala się mysich bobków. Położyła jeden na języku, słodkawy smak, skurcz w gardle, splunęła. Jak była mała i coraz trudniej było znaleźć w ruinach domów i sklepów cukierki zaczęła jeść mysie bobki. Odkąd pamięta wszędzie było ich zawsze pełno. Dopiero jak przeczytała w znalezionej książce, że myszy przenoszą groźne choroby to zaprzestała tego robić.

Książki, o tak, czytanie książek to było to co lubiła najbardziej. Nauczyła się czytać jeszcze zanim zdarzyło się to wszystko w wyniku czego została na świecie sama, potem wyszukiwała książki i czytała bez wytchnienia. Dzięki temu wiedziała jak było kiedyś, jakie były zwierzęta, krajobrazy i ludzie. Nie wszystkie książki mogła czytać, nie zawsze te, które znajdowała były napisane w zrozumiałym języku, ale z czasem nauczyła się rozumieć także te.

Myśl o czytaniu spowodowała, że Koran zeszła po schodach do kuchni. Wzięła do ręki jedną ze swoich książek, ale zaraz ją odłożyła i zabrała się do sprzątania i układania ich rzeczy. Rzeczywistość była o wiele bardziej pasjonująca niż świat z książek, szczególnie teraz.

Rozległ się słaby odgłos uderzenia pioruna. Zapadł zmierzch, a oni nie mieli światła. Siedzieli w ciemności czasem rozświetlanej błyskawicami.

— Czemu się nie boisz? Zawsze się boisz? — Wincent przyciągnął Koran do siebie.

— Bo mamy dom - odpowiedziała.

— Dom - powtórzył bezwiednie.

*

Burmistrz otworzył drzwi i wszedł do magazynu. Naprawdę nazywał się Amadeusz Weitz, ale wszyscy mówili na niego Burmistrz. Działo się tak dlatego, że zamieszkał tu na długo przed tym jak zjawił się pierwszy z przybyszów. Zamieszkał tu nawet wcześniej niż Gumn, którego dziwny język przez długi czas nie pozwalał im porozumiewać się normalnie. Właśnie teraz usłyszał odgłosy rozmowy Gumna i jego żony. Nie znosił tego bełkotu, ale nie przerywał im tylko od niechcienia słuchał niezrozumiałych dźwięków. W końcu zza zasłony wyłonił się Gumn. Kiwnęli sobie na powitanie głowami.

— Widziałeś konie tego nowego? — Gumn wyciągnął z kieszeni spodni butelkę ohydneho bimbrowego, który dla wyrafinowanego smakosza, jakim był Burmistrz, był źródłem przyjemnego ścisnięcia w żołądku.

— Gdzie on je znalazł i jak je oswoił?

Niektórzy mówili, że bimbrowy Gumna zawdzięczał swoją moc w równym stopniu szyszkom, co sówim wypluwkom. Gumn rzeczywiście miał słaby wzrok i mógł pomylić te dwa dary zagajnika, ale Burmistrza starał się w tym momencie nie myśleć o pochodzeniu płynu, który pokazałą strugą przepalił ścieżkę poprzez gardło do jego wnętrzości.

— Co tam konie, przyjdzie zima to zdechną — wycharczał.

— Prędzej sam zdechniesz, mocne konie. Jak zrobi im porządną kojec to nie zdechną, sam mu pomogę — Gumn zmrużył oczy. Na jego rzęsach pojawiły się krople potu kiedy przechylił kubek z rzeźbionego szkła i wlał w siebie jego zawartość. — A na wiosnę, jak Iwan nie naprawi naszej dobrej lokomotywy, może trzeba będzie nimi ciągnąć na południe wagony; konie i kilku silnych bydlaków...

— I tak nie dadzą rady, Iwan zresztą lokomotywę naprawi, a konie bardziej się przydadzą w tartaku... — Burmistrz poczuł znajome pulsowanie w skroniach i chęć do kłótni.

— A jak nie naprawi? — Gumn nie czekał, aż minie kaszel, który właśnie przeszkodził Burmistrzowi i ciągnął za niego dalej. — Niełatwo będzie znaleźć nową lokomotywę po pierwsze, a po drugie ją tu ściągnąć.

Przerwał, gdyż na werandzie domu rozległ się stukot podkutych butów i po chwili do pomieszczenia wszedł rudy jak lis Iwan.

— Daj mąki Gumn i słoniny, jak masz to cebuli — Burmistrz lubił słuchać melodyjnego dźwięku mowy Iwana, dlatego gestem ręki zaprosił go do tego, aby usiadł z nimi za stołem, a Gumnowi dał znak żeby nalał też dla Iwana, któremu zaświeciły się wyraźnie oczy.

— Naprawiłeś? — Gumn sięgnął po kubek do kredensu i postawił napełniony przed Iwanem.

— Jeszcze nie.

— Napraw to dostaniesz mąki, śmieję się, śmieję się! — Gumn sprostował od razu gdy zobaczył wściekły wzrok Iwana i Burmistrza.

Nienawidzili żartów Gumna. Wszyscy, którzy pracowali mieli takie samo prawo do zapasów zgromadzonych w jego magazynie.

— Da się naprawić? — Gumn próbował załagodzić.

Iwan nie zdążył dać odpowiedzi ponieważ nagłe poruszenie i gwar rozmów przed wejściem do sklepu zaprzętnęło ich uwagę. Mężczyźni wyszli na zewnątrz, gdzie w strugach

deszczu grupa kilku mieszkańców miasteczka o czymś zawzięcie dyskutowała. Jeden z nich zwrócił się w stronę wychodzącego z magazynu Burmistrza.

— Ten nowy wystrzelał za górką cały magazynek amunicji i nie mów nam, że nic o tym nie wiesz.

Burmistrz powiódł zmętniałym od bimbrowym spojrzeniem po grupce stojących w błocie mieszkańców miasteczka, aż w końcu zatrzymał go na sygnecie ozdabiającym jeden z palców zaciśniętej na barierce werandy ręki.

— O co pytałeś się, Karl?

— Nie pytałem się, tylko stwierdzam do cholery, że ten...

— Zdaje mi się, że na tym wspaniałym kawałku tego pięknego świata każdy człowiek może wziąć i wystrzelać tyle naboju ile ma w magazynku, we wszystkich magazynkach jakie posiada i nam nic do tego.

Burmistrz wytrzeźwiał równie szybko jak się upił i zdał sobie nagle sprawę z tego, że jego wypowiedź doskonale przeczy temu co próbował od tak dawna przekazać tym ludziom.

— Zajmijcie się lepiej swoimi żonami, kto ją ma, zamiast hałasować jak rozwrzeszczane stado wron — spróbował zmienić ton.

Wiedział, że jak pozwoli sobie na utratę kontroli nad tym, co mówi, to utraci kontrolę nad tymi ludźmi, a bez nich nic nie znaczą wszystkie przeczytane przez niego książki i przetrawione teorie jak powinno wyglądać społeczeństwo.

— Zresztą żony mogą poczekać, w przeciwieństwie do Gumna, który zaraz schowa swoje wyroby z powrotem do piwniczki.

Tłumek najwyraźniej się ożywił, a z piersi mężczyzny nazwanego Karlem wydobył się świst jakby spuszczonej z lokomotywy pary, by przejść w niespokojny i chciwy upicia śmiech. Stało się to jakby zezwoleniem na rechot dla wszystkich stojących na i przed werandą mężczyzn. Ci, którzy głośno nie objawiali swojej wesołości, przynajmniej uśmiechali się wyrażając w ten sposób aprobatę dla zaproszenia Burmistrza.

— Chodźcie na łyk lekarstwa, bo rozpuścicie kości na tym obrzydliwym deszczu — Gumn przytaknął w końcu głośno temu, o czym każdy z nich myślał i wkrótce drzwi do magazynu zamknęły się za ostatnim z mężczyzn.

— Obrzydliwe to nie deszcz tylko te twoje lekarstwo, he he... — Karl wznosił toast za czekające ich tego dnia pijaństwo. Skrzywił błazeńsko twarz i wlał w usta zawartość szklanki, a jasnożółty płyn spenił się na jego wstrząsanych wstrętem wargach.

*

Pod wieczór deszcz przestał padać, chociaż linię horyzontu nadal przykrywały ciężko stopy, z rzadka tylko poprzebijanych przez światło, sinych i zimnych chmur. Niebo przypominało zagruntowane błyszczącą emulsją płótno malarskie zamazywane przez wiatr najgrubszym pędzlem umoczone w popiele i wiśniowym soku, na tyle jednak niedokładnie, że krajobraz wydawał się bardziej przesycony światłem niż kiedykolwiek. Wincent i Koran zatrzymali się przed drzwiami prowadzącymi na werandę domu Kowanów, a przyśpieszony oddech obojga sprawiał, że stali otoczeni kłębamii pary niby mgłą. Zagwizdał ptak i Wincent podniósł rękę, aby zapukać do pomalowanych na rdzawy kolor drzwi, ale zanim to uczynił drzwi się otworzyły.

— Dobrze, że nie padało tak mocno jak żeście szli — Jonatan Kowan uczynił gest zaproszenia i goście weszli na werandę i do sieni.

W kuchni było tak bardzo gorąco i parno, że Wincent popatrzył z żalem na pełną rzeńskiego powietrza przestrzeń za oknem, zaparowane szyby jednak nie pozwalały zobaczyć zbyt dużo.

— Gorąco — Jonatan przerwał przedłużającą się chwilę milczenia — otworzę drzwi.

— Macie prąd — zauważył Wincent.

— Tak, chodź pokażę ci mój agregator.

Kiedy wyszli Koran podeszła do pieca i zaczęła grzać ręce.

— Ciepło tu, u was.

— Tak, mów do mnie Lena, ty jesteś Koran tak?

— Koran.

Nagle zrobiła duże oczy.

— Ale żeś tego napiekła — wskazała palcem na stos placków stojących w misce na brzegu pieca.

— Zjedzą, pewnie jesteście głodni.

Do kuchni wbiegł Eli, chłopiec przystanął gwałtownie i uklonił się speszony w kierunku Koran. Porwał z miski jeden z placków i usiadł na ławie w przeciwległym kącie kuchni. Koran roześmiała się nerwowo i poczerwieniała jakby to zdarzenie wyprowadziło ją z równowagi.

— To, to... wasz...?

— Powiedz jak masz na imię i nie wyjadaj przed kolacją — matka popatrzyła groźnie w kierunku siedzącego chłopca, ale ten miał usta szczelnie zapchane połykanym plackiem.

— Ma sześć lat, łapczywy jak jego ojciec. Idź się bawić do pokoju, jak nie potrafisz się zachować!

— Nie, niech zostanie! — Koran zaprotestowała gwałtownie. Może nawet zbyt gwałtownie.

— Wy, wy... — Kowanowa zrozumiała to podniecenie.

— Tak, my... — urwane w pół zdanie i spuszczone wzrok Koran mówił więcej niż słowa.

— Teraz mało kto może, albo rodzą potworki... u nas w miasteczku przynajmniej — zbyt niedelikatnie i obcesowo jak na kobietę Kowanowa ciągnęła dalej wątek.

— Wszędzie — Koran podjęła rozmowę i podeszła do chłopca.

— Nie mam nic dla ciebie, ale następnym razem ci przyniosę.

— A co mi przyniesiesz?

— Zobaczysz, coś fajnego. Mam trochę zabawek, niektóre sama szyłaam ze skórek ustrzelonych przez Winca królików.

— Ooo, tak? To ja pójdę z tobą po nie.

— Eli! Jak Koran ci powiedział, że przyniesie, to sama przyniesie — matka chłopca wydała się nagle czymś rozdrażniona. Koran przez chwilę popatrzyła na nią zdziwiona, ale szybko zapomniała o tym dziwnym wrażeniu.

Drzwi do pokoju się otwały i weszli mężczyźni. Zachowywali się hałaśliwie, a nienawykły do trunków pewnego rodzaju Wincent musiał co chwilę się na czymś podpierać.

— Masz piękną żonę Wincent, pilnuj jej! Oczywiście nie piękniejszą do mojej — Jonatan objął z tyłu Lenę i próbował podnieść ją do góry.

— Zostaw obłudniku, bo wylejesz garnek z wrzątkiem! Puść mnie!

— Cha, cha, Eli daj kubki, wiesz które — Jonatan wyjął z kieszeni butelkę i usiadł za stołem. — Trzeba uczcić takie wydarzenie, no nie!

Po chwili jednak odstawił butelkę do kredensu, a z jednej z szafek wyjął kilkilitrowy gąsiorek napełniony w połowie żółtawym płynem.

— Spróbuj, sam robiłem. Spróbuj stary przyjacielu, cha, cha, jakbym cię znał od dawna, cha, cha..., noo..., nie wiesz z czego?

— Ale dobre, takie pyszne — Koran oblizwała wargi, czemu Jonatan nie omieszkał się dokładnie przyjrzeć.

— Sam robiłem, z kwiatów jaworczy, najśłodsze kwiatuszki, jakie ten surowy klimat może zrodzić. A oto i placki, i kawa z palonych z ziołami ziaren przez moją Lenę. Jedzmy na zdrowie!

Za oknem zrobiło się czarno, a deszcz rozszalał się na dobre. Nasilające się falami pukanie kropel o szyby splatało się z wyjącem w szparach domu wiatrem. Palenisko pieca było wypełnione żarem koloru krwi, do którego Jonatan dołożył właśnie nowe szczapy drewna. Rozległ się trzask i syk, a po chwili płomień zaczęły oblizywać szpary w powyginanej blasze niczym język zęby.

— Dobre placki — Wincent pochwalił gospodynię.

— Przyzwyczajacie się. Niewiele więcej jest tu do zjedzenia zimą.

— Mus z owoców zebranych w lesie, czasem mięso — Lena zaczęła zbierać ze stołu naczynia.

— Czasem? Byłem dzisiaj rozglądać się po okolicy z bronią i co nieco ustrzeliłem.

Zapadła niezrozumiała dla Lunschów cisza. Wreszcie Jonatan ją przerwał.

— Dzisiaj mówili w mieście, że strzelałeś...

— Ludzie w mieście nie mają innych, ciekawszych tematów do plotek? — Wincent nie dał dokończyć rozmówcy zdania, co raczej nie należało do jego zwyczajów.

Kowan popatrzył tępo w ścianę.

— Nie dla tego, że mam coś przeciw temu, ale nie rób tego.

— Czego nie robić? Nie strzelać? — Wincent poczuł jak napływa mu do głowy krew.

— To jakaś bzdura. Lubię strzelać i będę strzelał, poza tym musimy coś jeść.

— Ja to rozumiem, ale inni nie bardzo. Wincent, mówię jak jest, ja nic do ciebie nie mam, ale oni. Ja też wolałbym robić coś innego, niż zastawianie łapek i wyprawianie tych pieprzonych skórek. Myślisz, że nie wolałbym łązić z pukawką po lesie i nie słuchać tych maszyn z tartaku.

— Przecież tutaj nie słyszeć.

— To nie o to chodzi, nie o to, miasteczko to jest tartak, rozumiesz? Jak nie rozumiesz to zrozumiesz. Wszystko jest podporządkowane tartakowi, dzięki niemu mamy żarówki, ubrania i ziarno na mąkę. Za skóry i suszone mięso tego wszystkiego byśmy na południu nie wyhandlowali. Dlatego każdy, kto chce mieszkać w miasteczku musi przestrzegać zasad. Teraz ci powiedziałem, więc rób, co Burmistrz i Gumn ci wyznaczą i nie poluj, a jak ci pozwolą polować to i tak wszystko, ale to wszystko, tak jak ja, musisz zanieść do magazynu. Każdy dostaje po równo, rozumiesz? Zasada jest taka: pracujesz to masz! Jonatan zaczął się jękać ze zdenerwowania, nalał sobie z baniaka i wypił.

— Wincent...

— Nie mów.

— Czego nie mówić?

— Nie mów nic więcej o tym, lepiej nalej jeszcze. Będę pracował, ale nikt mi nie zabroni upolować dla Koran zająca, a jak będę chciał to i coś większego.

— Nic nie rozumiesz, to wszystko dostaniesz z magazynu.

— Może nie rozumiem, ale wiem co mogę, a co nie.

Kowan pokręcił głową.

— Ja też się buntowałem. Wierz mi, że trwało to krótko.

— No, czas na nas.

— Ale leje, a u nas nie napalone — Koran popatrzyła w okno.

— Śpijcie u nas, pokoi dosyć, nie pójdziecie w taki deszcz.

Lunsch podniósł się zza stołu, ale zaraz usiadł z powrotem.

— Widzisz, musicie spać u nas — Jonatan ponowił propozycję.

— Konie, konie, muszę mieć na nie oko, nie darowałbym sobie, do zobaczenia.

Wincent zdołał się w końcu podnieść. Koran pogłaskała po głowie śpiącego na ławie chłopca ubrała wierzchnie okrycie i Lunschowie wyszli zagłębiając się w deszczu i w ciemności.

*

Wincent wstał wcześniej rano i z pasją zaczął czyścić broń. Kiedy złożył sztucer przeładował i przyłożył kolbę do ramienia, zimna stal w miły sposób pieściła jego policzek. Wycelował przed siebie i pociągnął za spust, rozległ się trzask iglicy, włożył magazynek z pięcioma pociskami i zabezpieczył. Zaczął rozmyślać nad odpowiednim miejscem dla przechowywania broni, ale wkrótce porzucił te myśli i postawiwszy karabin w rogu kuchni wyszedł przed dom.

Nie padało tak mocno jak poprzedniego dnia. Dał koniom ziarna, którego worek znalazł wczoraj w sieni, gdy wrócili od Kowanów. Nie wie kto mógł mu go przynieść, ale to dobrze, że nie musi ich wypasać na takiej mokrej trawie, nie służyłoby im to zbytnio.

Zaczął szperać w zakamarkach drewnutni, aż znalazł to, co chciał — długi stalowy pręt, którym natychmiast zaczął wyrąbywać ścieżkę od drzwi do drogi. Ciął osty aż do korzeni, a ziemia czarna i lepka rozpryskiwała się naokoło jak trociny przy rąbaniu drewna. Pot i deszcz spływały do ust mężczyzny słoną strugą, która była ciepła i sprawiała wrażenie sycącej jak pokarm. Kiedy skończył dyszał ciężko, a z jego płuc wydobywały się kłęby pary.

Odłożył pręt i podszedł do wozu z przywiezionymi obrzynkami. Zaczął je układać pod okapem, dłuższe przełamywał, te nadające się do naprawy domu i pomieszczenia dla koni odkładał na bok. Nagle konie zrobiły się niespokojne, odwrócił się, za nim stał w odległości kilku kroków mężczyzna, którego nie znał.

— Jestem Amadeusz Weitz, ale mówią na mnie Burmistrz — gość podniósł kapelusz w geście pozdrowienia. — Byłem tutaj wczoraj, ale jak widzę dajesz sobie sam radę.

— I sam i nie sam, ale sobie daję radę — Wincent podał burmistrzowi na powitanie rękę.

— To pan przysłał ziarno dla koni?

— Nie, pewnie Gumn, ten stary...

— Tak, wiem — Lunsch mu przerwał.

— No właśnie, wszystkim tu zależy na twoich konikach, dlatego chętnie ci pomożemy przysposobić dla nich porządne mieszkanie na zimę.

Burmistrz podszedł do wozu i usiadł na kole.

— Może wejdziemy do środka? — Wincent wytarł w spodnie ręce i zgarnął z czoła włosy.

— Dobry pomysł, oczyściłeś już studnię?

— Oczyszczę, na razie pada deszcz i przykrycie trzeba zrobić.

— Racja, święta racja, że tak powiem.

Weszli do środka, pachniało świeżo zaparzoną miętą i smażonymi na blasze filetemi z mięsa, na stole stały już trzy talerze.

— Witam panią. — Burmistrz powiesił kapelusz na drzwiach do pokoju i przygładził włosy. Widok dużych płatów łupieżu na jego głowie sprawił, że Koran skojarzyła go już za pierwszą wizytą z muchomorem.

— Dzień dobry — odpowiedziała. — Czyżby dzisiaj dalej miało padać?

— Tego nie wiem, zapewne tak, ale u was w kuchni nie ma się czego trapić deszczem, sucho i ciepło — gość dotknął dłonią omiecionej z pajęczyn ściany.

— Postoją jeszcze dla waszych dzieci. Prawdziwe państwo boże — dodał jedno ze swoich ulubionych powiedzonek.

Koran zaczęła przypatrywać się mu jakby próbując zrozumieć co ma na myśli, ale speszona odwzajemnionym spojrzeniem odwróciła się do kuchni.

— Proszę zjeść z nami, będzie nam miło — Koran postawiła na stole talerz z mięsem i garnek z ukiszzonymi jabłkami.

— Kuropatwy? — Burmistrz podniósł widelec na wysokość nosa i z lubością wdychał zapach.

— Kuropatwy.

Jedli w milczeniu, w pewnym momencie Burmistrz zaczął się przyglądać stojącemu w kącie sztucerowi, podniósł się z miejsca i podszedł do niego, chwycił mocno za kolbę i powoli uniósł go na wysokość oczu.

— Niezły karabin.

— Niezły.

— Wczoraj kilku mieszkańców, których jeszcze pewnie nie znasz, poprosiło mnie, żebym przekazał ci coś, czego jeszcze pewnie nie wiesz, a może już wiesz? — Burmistrz odwrócił się w stronę Wincenta nadal przyglądając się broni.

— Kuropatwy to chyba nie z tego? — zmienił wątek.

— Nie, mam też dubeltówkę.

— No, nie ważne czy już wiesz, ale teraz będziesz wiedział... — powrócił do właściwego tematu.

— Nie chcę wiedzieć.

— Chcesz. Ty jesteś nam potrzebny, a my tobie. Ty masz konie i jesteś silny, a my tworzymy zgraną społeczność, no i mamy oczywiście to miasteczko. My szanujemy twoje prawa, a ty szanujesz nasze i wszystko na ten temat.

Wincent milczał, napięty jak spust pod dotknięciem palca i patrzył prosto przed siebie w okno. Chciał dostosować się do tej społeczności, ale nie mógł pozwolić, aby narzucali mu coś, co jak przeczuwał, trudno byłoby mu przyjąć. To dziwne, ale nawet nie chciał wiedzieć, o co im chodzi. Patrzył uważnie na poruszające się usta Burmistrza, podziwiał ich giętkość,

grymasy, delikatne nitki śliny zatrzymywane na wąsach. Jego świadomość jednak nie rozpoznawała treści przekazywanego komunikatu. Ocknął się dopiero po wyjściu gościa, gdy Koran trzęsąc nim mocno, jakby bojąc się, że już nigdy nie przestanie stać wpatrując się w nie wiadomo co, krzyknęła.

— Wincent! To jest nasz dom!

*

Jonatan Kowan rozciął delikatnie stosowne miejsce na ciele schwytanego w sidło zająca i zagłębił brudną rękę w jego wnętrzu. Powolnym chociaż zdecydowanym ruchem wyciągnął letnie już wnętrzności i rozciągnął po piasku. Jutro, może pojutrze już ich nie będzie, zostaną zjedzone przez szukających obiadowiczów, żebrzące z wyrachowaniem stworzonka. Kiedy tak przyglądał się zielonkawym od trawionego pokarmu i śluzu flakom pomyślał o Wincencie, który przywiózł sztucer do ich osady i zamierza polować. Na dobrą sprawę mogłoby przybyć co miesiąc dwunastu Wincentów ze sztucerami i Jonatan Kowan dalej mógłby zakładać swoje łapki i znajdować w nich zdobycz. Zwierząt było dosyć na tym fragmencie świata, gdzie ocalały lasy nie zmiecione huraganem wojny, ale to on, Jonatan Kowan, zgodnie z decyzją Burmistrza i jego świty, miał zaopatrywać miasteczko w mięso. Pozostali mieli pracować w tartaku, dla tartaku, w jednym miłosnym uścisku z tartakiem.

Dotarł do niego mdły zapach zajęczych wnętrzności, chciał się odsunąć od nich, ale nie mógł wyprostować się z kucek. Wręcz odwrotnie, poczuł w żołądku ściśnięcie. Przed jego oczami istniało tylko czarne wnętrze rozwalonego na ziemi zająca, w którym zobaczył kobietę, która przybyła z Lunschem, a raczej to, co mogła mieć pomiędzy nogami. Pieścił ochłap złapanego w sidło mięsa aż zwymiotował na nie w gwałtownej konwulsji, stanowczo smród wnętrzności był zbyt pobudzający. Otarł wierzchem dłoni usta, by po chwili wyrzucić z siebie jeszcze porcję żółtej śliny.

Ocknął się i próbował wstać, ale gwałtowny zawrót głowy sprawił, że chwycił i złamał wątłą, na wpół uschlą sosnę przy której rozprawiał się z wnętrznościami zająca i swoimi. Zwalił się ciężko plecami na ziemię. Na niebie, daleko poza zasięgiem jego wyciągniętych rąk,

rozgrywka między szalejącymi chmurami nie wróżyła pomyślnego epilogu, zaraz mżawka zamieni się w następny dzień deszczu. Kolejne ściśnięcie wnętrzości na myśl o kobiecie do której poczuł to coś dziwnego..., nie to nie możliwe, przecież był przekonany, że już nie jest w stanie tego czuć, co do Leny jakiś czas temu się wyczerpało, a on jest już zbyt dużym chłopcem na szczeniactwo. Jednak dzieje się inaczej i myśl o osobie płci przeciwnej napełnia go bólem mostka, że nie mogąc go spokojnie wytrzymać Jonatan Kowan przekreślił się na bok. Był tak prymitywny, że przyływ tego subtelnego uczucia zaskoczyła w całej rozciągłości jego prosty, nieskomplikowany umysł.

Jonatan wracał do domu zgięty w pół, pojękując, nie myśląc o pozostawionej w lesie zdobyczy. Koran była tak blisko Wincenta, że nie wyobrażał sobie, że ta kobieta znajdzie czas na jego zaloty, jednocześnie pożerająca namiętność kazała mu myśleć o sposobach na spełnienie. Jeżeli Lunsch zostanie zaprzęgnięty z koniami do pracy w tartaku, a Jonatan nadal będzie łowił zwierzęta, to w sposób niekontrolowany przez nikogo będzie mógł ją odwiedzać podczas nieobecności Wincenta. Tak, a jeżeli nie uda się zmusić przybysza do pracy, jeżeli będzie chodził samowolnie po lesie i łowił zwierzęta. I tutaj Jonatan przystanął gwałtownie bo w jego umyśle zapadającym w dziwną chorobę zaczął rysować się pewien plan.

*

Ciężkie od deszczu chmury przynosiły nowe salwy ulewy, kiedy do drzwi domu Wincenta i Koran Lunsch ktoś załomotał. Za drzwiami stał mężczyzna, którego nie znali. Jego lewa połowa twarzy była pokryta nienaturalnie czerwonymi plamami, więc Koran szybko odwróciła wzrok, ale Wincent wpatrywał się w gościa intensywnie, nie bez pewnej wrogości. Tamten wyczuł to, więc udał, że nie zauważył gestu zaproszenia i nie przedstawivszy się nawet przekazał zaproszenie dla Wincenta na spotkanie w magazynie Gumna.

Wincent skinął głową i zdjawszy z kołka wierzchnie ubranie, długi płaszcz zszyty z grubych koców, wyszedł za obcym mężczyzną przed dom. Tamten przystanął przez moment rozglądając się po obejściu, ale narastająca ulewa zmusiła ich do przekroczenia granic

podwórza i szybkiego marszu rozmytą drogą. Rozpędzone strumienie wody żłobiły prawdziwe rzeki po obu stronach wypukłości szlaku przecinającego miasteczko z zachodu na wschód.

W magazynie zgromadziło się około trzydziestu pięciu, może czterdziestu mężczyzn. Kiedy Wincent wszedł tam za nieznanym poczuł się jak nigdy dotąd prawdziwym przedstawicielem swojej płci. Gęsty dym, kwaśny zapach alkoholu a nade wszystko ostry smród potu doskonale jednoczył tę społeczność. Od zgromadzenia oderwała się znajoma sylwetka Burmistrza i Amadeusz Weitz zbliżył się do przybyłych.

— Czuj się u siebie — w jego drżącym oddechu Lunsch wyczuł zdenerwowanie.

— Nie będę cię przedstawiał każdemu z osobna, w swoim czasie poznasz się ze wszystkimi. Nic tak nie jednoczy jak praca — dodał.

— Panowie! — wykrzyknął nagle Burmistrz. — Pora wprowadzić w naszą społeczność nowego członka, przybysza z zachodu, o którym wszyscy już słyszeliście, a niektórzy mieli przyjemność poznać go osobiście.

— Wincencie Lunsch, tak się nazywasz, czy chcesz zaakceptować nasz styl życia pośród tego niezbyt wspaniałego świata? Czy chcesz zostać z nami podporządkowując się naszym zwyczajom i regule przetrwania? — głos Amadeusza stawał się coraz twardszy, chociaż jego oczy patrzyły na Wincenta z nieukrywaną sympatią.

Lunsch milczał w obliczu ciszy jaka zapadła w magazynie, gdzie czuło się napięcie różnych oczekiwań i dążeń zgromadzonych osobowości, rozpinających wspólną sieć nad jego wolnością. Jak zwykle w takich sytuacjach Wincent po prostu nie słyszał dalszego ciągu wywodów Burmistrza o doskonałościach ich wspólnego pożycia, zapadł w jakiś dziwny, autystyczny stan umysłu. Pocierał przez chwilę poły swojego płaszcza by za chwilę zająć się polerowaniem guzików wykonanych z rogu. Przykucnął nagle i zaczął wycierać z błota brudne buty.

— Wincent! — krzyczał już prawie Burmistrz. — Czy godzisz się zaakceptować nasz sposób życia?!

Lunsch powstał, otrząsnął się z tego krzyku jak z czapy śniegu nagle urwanej nad głową wędrowca i popatrzył przytomnie na zgromadzenie, nie potrafił jednak nic powiedzieć.

— Wincent... — ponowił łagodnie Burmistrz, ale głos jednego ze stojących w tłumie mężczyzn przerwał mu gwałtownie.

— Przecież to wariat, ile będziesz mu tłumaczył podstawowe rzeczy, niech się zdecyduje, chyba słyszy co do niego mówisz.

— Słuchaj Wincent, czy jak ci tam, słyszałeś co Burmistrz do ciebie powiedział? — nieznanemu mężczyźnie w poplamionym od tłuszczu swetrze podszedł nagle do stojącego nadal przy drzwiach przybysza.

— Albo kończysz swoje bieganie po okolicy ze sztucерem i płoszenie zwierzyny i zabierasz się do uczciwej pracy, którą wyznaczyci ci nasza społeczność, albo wyruszaj ze swoją kobietą w dalszą podróż.

— Kobieta może zostać — powiedział ktoś z tłumu i zapoczątkował tym samym głośny rechot zebranych. Stojący opodal Jonatan Kowan zaczął przypatrywać się intensywnie temu mężczyźnie. Wincent może odjechać, myślał, ale Koran faktycznie musi zostać. No tak, tylko bez konkurencji się nie obejdzie.

Burmistrz przerwał rechot zdecydowanym tonem.

— Sami zdecydują, czy pojedą razem, czy nie, ale wierzę, że do takiej sytuacji nie dojdzie. Czy przyjedziesz jutro do pracy w tartaku swoimi konikami i obiecujesz, że nie będziesz polował, a potrzebne jedzenie i inne rzeczy będziesz pobierał z tego tu magazynu?

Burmistrz był pewny pozytywnej odpowiedzi człowieka, który przed nim stał, dlatego bardzo się zdziwił kiedy tamten pokręcił przecząco głową, wolno się odwrócił i wyszedł przez drzwi w szalejącą ulewę.

W magazynie zawrzało, ktoś wykrzyknął, że jeśli jutro zobaczy przybysza na ulicy to wsadzi mu jego sztucer do gardła i wystrzela magazynek.

— Tak czy inaczej musi odejść — odezwał się do siebie stary Gumn i przytknął żar do nabitej dopiero fajki. Gęsty dym uciekał powoli pod powalę pomieszczenia i wsysany przez szpary w deskach przyspieszał gwałtownie bieg.

Nikt go nie słyszał, ale każdy myślał to samo, jedynie Jonatan Kowan powziął wątpliwości. Wiedział, że gdy Lunsch odejdzie, to nie będzie miał szans na zbliżenie się do Koran, dlatego wszedł nagle na ladę magazynu i wykrzyknął na całe gardło.

— Stójcie! Czy ten człowiek nie jest dla was potrzebny?! Jeżeli nie to niech idzie, a jeżeli tak to niech zostanie... — nagle umilkł, uświadomiwszy sobie, że nie ma nic do powiedzenia, a jego argumenty nie są więcej warte niż wylana na podłogę szklanka bimbrowa.

Zależało mu tylko na zatrzymaniu w osadzie Koran, ale wiedział doskonale, że to nie będzie możliwe. Człowiek który łamie zasady... Łamie zasady? Nagle dotarła do niego myśl, jak mu się wydało genialna. Wyprostował ponownie plecy i wyrzekł słowa, których nikt nie oczekiwał.

— Czy Lunsch nie może dać swoich koni do pracy w tartaku, a sam będzie za waszym pozwoleniem łowił zwierzęta?

Zapadła trudna do wytłumaczenia cisza, w której ścierały się niebezpieczeństwo ulegnięcia silnemu pragnieniu jednego, obcego człowieka, Wincenta Lunscha, który chciał robić to, co miał w sercu i bezpieczeństwo narzucenia zasad wspólnoty miasteczka temu samemu człowiekowi za cenę wygnania.

— To ty masz łowić zwierzęta, a on ma pracować w tartaku i nie wcinać ci się do roboty, takie jest nasze postanowienie, kto ma inne zdanie niech je głośno powie — Gumn wycedził i rozglądając się po twarzach zebranych, tak by zatrzymać wzrok na ustach Kowana.

Jonatan Kowan wiedział, że to ostatnia szansa na wypowiedzenie swojego zdania obrony na rzecz Wincenta. Wiedział, że Koran odjedzie i jego żądza oglądania jej i dotykania nie zostanie zaspokojona, ale się nie odezwał. Bał się tego, co mogłoby nastąpić po sprzeciwieniu się postanowieniom wspólnoty miasteczka, a czego nawet nie potrafił sobie

wyobrazić, zarzucił więc na ramię swój karabin i wyszedł powolnym krokiem na deszcz, w którym jakiś czas temu zniknął przybysz z zachodu.

*

Szorstkie pędy wijących się po mchu roślin szarpia ubranie zakradającego się powoli człowieka. W odległości kilkunastu metrów przed nim widnieje wyprzęgnięty z koni wóz, same zwierzęta pasą się nieopodal. Jeszcze tylko dwa kroki i mężczyzna będzie mógł zajrzeć do środka pojazdu.

Jonatan wysuwa przed siebie nabitą broń i celuje prosto w nagie pośladki Lunscha, które rytmicznie naciskając na leżącym w wozie dobytku, ciało Koran. Zimne dotknięcie lufy sprawia, że Wincent przerywa nagle swoją męską robotę i odwraca gwałtownie ciało w stronę Kowana, który powoli unosi lufę na wysokość ust nagiego mężczyzny. Karabin, specjalnie wyczyszczony na tę okazję, drży w podnieconej dłoni przyszłego zabójcy, który zrealizuje swój plan z premedytacją i dopełni swojej żądzy na kobiecie obok martwego ciała jej kochanka.

Lunsch zdaje się nie rozumieć prawdziwego znaczenia swojego położenia i całuje z czułością wylot lufy, a w pewnym momencie usiłuje włożyć do jej wnętrza język. Odgłos wystrzału jest tak przeraźliwy jak krzyk kobiety, z której powodu odbyła się egzekucja. Lunsch nie pojedzie już dalej na wschód, nie znajdzie drugiego Pickdawon i nie spędzi w nim kilku deszczowych dni.

Zabójca wie, że to samo będzie musiało spotkać kobietę..., potem...

Kiedy Jonatan Kowan ocknął się z koszmarnego snu za oknem szalały białe chmury rozcierając po niebie mleko i słoneczne ciepło. Błoga pogoda nie wprawiła go jednak w dobry nastrój, mężczyzna uświadomił sobie, że jego życie nie ulegnie zmianie; będzie żył w osadzie bez odwagi przeciwstawienia się prawom wymyślonym przez zbiorowy umysł, przy czynnym

udziale co sprytniejszych mieszkańców miasteczka. Poprzedniego dnia pozbył się jedynej szansy na wolność. Nagle jego posępny nastrój prysnął jak tłusta bańka na cieple myjącej się w kącie izby Leny. W jego wnętrzu zagościł spokój. Poczucie bezpieczeństwa, które dawała społeczność zgromadzona wokół tartaku, zwyciężyło nie po raz pierwszy przecucie wolności, które dzisiaj odjedzie wraz z wozem zaprzęgniętym do koni Wincenta Lunscha.

Kowan otrząsnął się z resztek snu, powstał z łóżka i podszedł do okna. Zobaczył kierownika tartaku, Waldena Bacha, jak wraz z dwoma innymi mężczyznami szybko kroczy wysychającą drogą. Domyślił się, że idą zobaczyć wyprowadzkę Lunscha, więc szybko założył spodnie i kurtkę i wybiegł za nimi.

Kiedy doszedł do stojących przy płocie, okalającym podwórze Lunscha, zobaczył zbiegającą po schodach domu Koran. Była bosa, owinięta w koc, miała rozwiane włosy i szeroko otwarte oczy. Kiedy powiódł wzrokiem tam, gdzie skierowała swoją twarz zobaczył Wincenta Lunscha, który najwyraźniej pakował dobytek na zaprzęgnięty już do koni wóz. Jonatan pomyślał, że zachowuje się jakby obawiał się, żeby ktoś mu tych koni nie odebrał. Obok, oparty o studnię stał karabin Lunscha.

Koran wbiegła do domu, by po chwili wyjść z niego w butach i płaszczu. Podeszła do Wincenta i chwyciła go za ramiona, gdy wkładał na wóz pakunek z ubraniami.

— Wincent... — przez chwilę wisiała mu na rękach, ale on wykręcił je zdecydowanym ruchem i ulokował paczkę na upatrzonym miejscu.

— Wincent, nie zrobisz tego — próbowała wejść pomiędzy niego i wóz, ale on gwałtownie ją obszedł i załadował kolejny pakunek na drugą burtę.

— Wincent, czy słyszysz mnie, odezwij się, to jest nasz dom! — jej spokojny dotąd głos nabrał mocy.

Lunsch nie zareagował w najmniejszy sposób, wręcz przeciwnie, jakby nie słysząc i nie widząc tego, co wokół się dzieje dalej kontynuował pakowanie wozu.

— Wincent! — tym razem Koran krzyczała na dobre. — Przestań pakować ten wóz! To jest nasz dom! Rozumiesz!? Dom! Dom! Dom...

Jej głos załamał się i zaczął łkać.

— Wincent, zrób tak jak oni chcą, pracuj i schowaj na razie ten głupi karabin do szafy i nie poluj, proszę cię, Wincent... — uklękła obejmując nogi Lunscha, który zaczął szarpać się jakby ugrzązł w bagnie, aż w końcu podeptał jej ręce i odszedł kilka kroków by kontynuować pakowanie.

Koran leżała przez dłuższą chwilę na ziemi przytulając do brzucha ręce, jej nagie nogi wyglądały jak oskórowane filety dużych ryb leżące na przygotowanych do zawinięcia i przysypania gliną liściach ziół, pod którymi czai się żar paleniska. Kiedy zaczęła nimi wolno przebierać i podnosić się z ziemi Kowan miał wrażenie, że miejsce gdzie leżała parowało bardziej niż inne. Koran podeszła do studni i chwytając się jej krawędzi słabym głosem przez długą chwilę tłumaczyła nie słyszącemu jej Wincentowi, że ich dalsze życie jest związane z tym miejscem, że to jest ich upragniony dom i nie mogą utracić tej szansy.

Lunsch kończył już pakowanie, został może kilka drobnych pakunków i brezentowe przykrycie od deszczu, Koran nadal stała przy studni i żalonym wzrokiem patrzyła do jej wnętrza, kiedy jej błądzące po krawędzi studni ręce potrafiły karabin i Jonatan zobaczył jak ten wolno opada na wybetonowany plac dookoła. Huk wystrzału poderwał kilka czarnych ptaków na pobliskim drzewie, zaś Wincent Lunsch przystanął i spojrzał w stronę studni, po czym zaczął się do niej zbliżać. Koran początkowo wystraszona zebrała się nagle w sobie, podniosła z ziemi karabin i wycelowała jego otwór w stronę idącego Wincenta.

— Rozpakuj ten przeklęty wóz! — jej głos brzmiał tyle zdecydowanie, co rozpaczliwie.

— Wincent, rozpakuj ten wóz!

Mężczyzna nie zwolnił kroku, aż dotknął piersią śmiertelnej broni, powoli schodząc z linii strzału wykręcał ją z rąk Koran, kiedy ta nacisnęła spust. Mężczyzna złapał się gwałtownie za przestrelone ramię i upadł na ziemię. Z pewnej odległości nie było widać dokładnie całego zajścia, więc obserwujący wszystko Jonatan i jego trzech towarzyszy próbowali przeskoczyć na wpeł przewrócony płot. Odgłos pękających sztchet i walącego się ogrodzenia spowodował, że Koran szybko skierowała broń w ich stronę, Zanim przebrzmiał odgłos trzeciego wystrzału, jej ciało osunęło się na leżącego ciągle na ziemi Wincenta.

Miała zakrwawioną twarz — poluzowane podczas upadku przy studni zabezpieczenie zamka puściło i ten wyskoczył z karabinu uderzając Koran prosto w oczy.

Tego poranka mieszkańcy osady mogli zobaczyć przez okna swoich domów dziwny korowód. Na przedzie szedł Jonatan Kowan, który prowadził pod ramię kobietę z przewiazanymi oddartym kawałkiem czarnej koszuli oczami i zakrwawioną twarzą, za nim szedł Walden Bach, pogwizdując i mlaskając niczym parowóz w tartaku, zaś na końcu dwóch mężczyzn prowadziło chwiejącego się na nogach Lunscha z zakrwawionym ramieniem. Kiedy doszli do magazynu Walden Bach głośno zawołał.

— Hen! Niech twoja żona się cieszy! Nareszcie będzie miała okazję poćwiczyć swoje powołanie znachorki!

Zaskoczenie, jakie odmalowało się na ich twarzach kiedy weszli do wnętrza magazynu podobne było do zdezorientowanego sokoła, którego mistrzowski lot wprost na kark zająca przerwało zaćmienie słońca. Na środku pomieszczenia zastali starannie przygotowane posłania dla rannych i komplet leczniczego wyposażenia, od wyparzonych narzędzi, poprzez ziołowo pachnące maści, do gotującej się wody w olbrzymim garnku.

— Moja żona nie cieszy się z ludzkiego bólu — odezwał się stojący z boku Gumn, — lecz zawsze jest gotowa na wypadek, gdyby to, co mówią podrywające się do lotu ptaki miało okazać się prawdą.

— Połóżcie ich tutaj! — przetłumaczył w tym momencie wypowiedziany w dziwnym języku rozkaz starszej kobiety i wskazał ręką posłania.

Pół miasteczka zebrało się przed składem, aby tego popołudnia obserwować przez otwarte drzwi magazynu operację wyjmowania kuli z ramienia Wincenta Lunscha, pocisk nie utkwiał na szczęście głęboko. Przy ladzie stała Koran, która opierając się jedną ręką o sklepową wagę, a drugą o blat, podnosiła wysoko głowę, próbując mimo przewiazanych opaską oczu, wysilić zmysły na dziejące się dookoła zdarzenia.

Wokół niej wytworzył się podniosły nastrój, obcy, a jednocześnie dziwnie znajomy, czy też upragniony przez mieszkańców miasteczka. Amadeusz Weitz wpatrywał się dziwnie wzruszony w sylwetkę Koran i przypominał sobie wszystkie te chwile, kiedy przeglądał książki opisujące kulturę starożytnego państwa i przypatrywał się obrazkom z wizerunkami pomników, a szczególnie pomnikiem bogini sprawiedliwości. Sklepowa waga i przewiązane oczy były niezbędnymi atrybutami właściwego osądu rzeczywistości.

*

Łańcuch orczyka napiął się dźwięcznie kiedy koń pochylił łeb w dół i napał kopytami na rozmiękły pas gliny i kamieni pomiędzy lasem, a tartakiem. Przez pół roku ciężkiej pracy konie Wincenta Lunscha przeciągnęły na tym szlaku tyle pni ściętych drzew, że droga ich pracy przypominała koryto rzeki wypłukane powodzią, szczególnie, że dopiero co opadły deszcz rozmył ziemię i sprawiał, że zwierzę brnęło po pęczyny w brązowej zupie ze skwarkami wypłukanych skalnych odłamków.

Wincent cmoknął i napięcie mięśni pod skórą zmęczonego konia zelżało. Szorstka dłoń milczącego mężczyzny pieściła skórę pomiędzy rozumiejącymi oczami zwierzęcia. Ręka wędrowała po załamaniach i wgłębieniach końskiego łba, aż dotarła do chrap z których wydobywały się kłęby pary. Kiedy Wincent zbliżył zarośniętą twarz do tej miękkiej części ciała zwierzęcia, jego wargi zaczęły skubać szpakowatą brodę człowieka. Po chwili pomiędzy łąpczymym kłapięciem czarnych ślimaków warg zniknęło coś szarego, mącznego i bardzo słodkiego. Coś, co właściciel konia piekł specjalnie dla niego przynajmniej raz w tygodniu i co nosił zawsze przy sobie.

Kiedy odezwało się kolejne cmoknięcie, mięśnie zagrały ponownie pod skórą karku zwierzęcia i łańcuch orczyka zagrał jak struna pomiędzy uprzężą, a pniem sosny. Człowiek, koń i ścięte drzewo przesuwali się krok po kroku po drodze ich pracy, na której znali każdy kamień i zagłębienie rozmiękłej skały.

W połowie drogi zaprzęg minął wbity w ziemię drąg, obłożony dookoła kamieniami, na którym zatknięto czaszkę. Na zbielelej od słońca i wypłukanej od deszczu kości ciemnymi smugami odcinały się przyschnięte resztki tego, co stanowiło kiedyś ciepłą i miękką powierzchnię końskiej głowy. Nie zwalniając kroku Wincent zdjął z głowy kapelusz i poruszył przecząco głową, nie wiadomo, co miał oznaczać ten gest, ale dla człowieka miał najwyraźniej duże znaczenie, gdyż wyprostował sylwetkę, jakby wstąpiła w niego nowa siła. Idący za nimi, powłóczący zmęczonymi po całym dniu pracy nogami mężczyźni nawet nie zwrócili uwagi na tę odbywającą się każdego dnia po wielokroć ceremonię. Jediną myślą jaka im towarzyszyła była duża miska jedzenia i wygodne łóżko.

Kiedy Wincent wyprzągnął konia, wprowadził do szopy i zaczął czyścić jego spoconą sierść, w świetle otworu drzwiowego pojawiła się sylwetka Koran. Poprawiła opaskę na lewym oku, towarzyszącą jej stale od pamiętnego dnia i rzuciła szybko.

— No nareszcie, chodź jeść. Długo jeszcze będziesz go czyścić? — nie oczekiwała odpowiedzi, tylko podeszła do konia z drugiej strony i zaczęła wykonywać te same czynności, co jej mąż i biała piana potu i śluzu zaczęła szybciej znikać z drżącej skóry konia.

— Jak było dzisiaj w lesie? — Koran mówiła bardziej do zwierzęcia niż człowieka.

— Błoto — popatrzyła na obłocone kopyta i buty. — Ciężko.

Na stole stała miska placków i mus z owoców pigeli, kobieta zdjęła z pieca garnek kawy i nałła do kubka Wincenta czarnej i mocnej cieczy. Zaczęła opowiadać, co się zdarzyło w ciągu dnia, jakie przetwory zrobiła, kto ją odwiedził, jaka była pogoda. Mężczyzna milczał swoim milczeniem, ale nie przeszkadzało jej to zupełnie. Nie zwracała uwagi na to, czy jej słucha, czy nie, chociaż mogła być raczej pewna, że niewiele dociera do jego świadomości z tego, co ona mu mówi.

Po posiłku Lunsch zdjął buty, czapkę i kurtkę i rozsiadł się wygodnie na ławie, złapał przechodzącą Koran za suknię i pociągnął do siebie. Koran nie stawiała oporu, gdy położył ją

na plecach pomiędzy naczyniami leżącymi na stole i zadarł jej spódnicę do góry. Chwilę oglądał wzgórek splątanych krzewów, żeby po chwili zapalić pod jego skorupą ogień. Kiedy siwe wąsy dymu od tłących się liści ciężko zsunęły się po krzaku i pierwszy płomień wychynął spomiędzy gałęzi, rozerwał je jakby były zlepionymi skrzydłami owada i wyłuskał żar odwłoku. Skurcz umierającego robaka napełnił go wstrętem i pożądaniem, dlatego wahał się przez dłuższą chwilę, czy kontynuować torturę, ale zwyciężyła nienawiść i Wincent rzucił swoje spocone ciało na pastwę żądzy.

— Powiedz mi coś, kiedyś czasem coś powiedziałaś — Koran poprosiła błagalnym głosem i zacisnęła mocno powieki, ale nic nie usłyszała oprócz ciężkiego oddechu Wincenta.

*

Amadeusz Weitz odprowadził wzrokiem człowieka z koniem, aż zniknęli za zakrętem drogi prowadzącej do tartaku i dalej do lasu, i dopiero wtedy wyszedł z ukrycia. Otrzeptał koszulę z przyczepionych śmieci, rozglądnał się jeszcze raz uważnie, czy ktoś go nie obserwuje i powoli zwrócił swoją sylwetkę w stronę domu, z którego przed chwilą wyszedł jak każdego ranka Wincent Lunsch. Sprawdził, czy z kieszeni spodni nie wypadła mu dość spora paczka czekolady i pewnym krokiem ruszył przez drogę, przewrócony płot i podwórko, aż zatrzymał się przed domem, za którego drzwiami czekało go dzisiaj trochę przyjemności.

Burmistrz podnosił już rękę, żeby zapukać do drzwi, kiedy usłyszał jak ktoś poza zasięgiem jego wzroku rozmawia. Powoli przeszedł na drugą stronę werandy i nachylił głowę, skąd dobiegała rozmowa. Tak, nie mylił się, Koran rozmawiała z jakimś mężczyzną.

— Czemu dzisiaj przyszedłeś, miałeś dzisiaj nie przychodzić, przecież mówiłam ci, kiedy powiem, że masz przyjść to wtedy, a nie jak ci się podoba — jej głos był wyraźnie zdenerwowany.

— Ależ przyniosłem ci kuropatkę, zobacz, pozwól mi wejść, niech nie stoję pod oknem.

Kto to był? Burmistrz obruszył się nie na żarty, czyżby nie był jedynym mężczyzną, który odwiedzał Koran pod nieobecność Wincenta. Amadeusz próbował nachylić się ostrożnie nad werandą, aby zobaczyć z kim rozmawia Koran. Zaraz, on powiedział "kuropatwę"? Teraz dopiero rozpoznał głos mężczyzny, nie było sensu przedłużać jego flirtów, więc pewnym krokiem podszedł do drzwi i załomotał w nie zaciśniętą pięścią.

Jonatan Kowan usłyszał, że ktoś głośno i zdecydowanie puka do drzwi domu i zanim Koran zniknęła w oknie zarzucił dubeltówkę na ramię i szybkim krokiem oddalił się w stronę zarośli skąd nadszedł.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś go przyłapał na zalotach.

*

Bór szumiał w ciepłych podmuchach wiatru, które raz po raz przewiewały ciężki i kwaśny zapach ścielącego się pod nogami igliwia.

Ciemne namioty mocno stojących i wykroty przewróconych świerków ograniczały pole widzenia do kilkunastu kroków, a nieme życie ukrywających się zwierząt i przejmujące trwogą spojrzenia duchów lasu sprawiały, że Jonatan Kowan czuł się nieswojo.

Już od pewnego czasu posuwał się coraz wolniej a teraz stanął w miejscu i z dziwnym skurczem w gardle starał się nie oddychać. To, co usłyszał kiedy zamilkł trzask łamanych jego stopami gałęzi i szum potrąconych krzewin było oddechem potężnego boga, który na tym fragmencie skały stworzył i napędza nieustannie nieprzeliczoną liczbę strumieni życia. Nie należał do ludzi strachliwych, ale przerażenie, które poczuł, zmusiłoby go niechybnie do panicznej ucieczki, gdyby nie to, że zaszedł w las zbyt głęboko. Zdawał sobie sprawę, że po kilku godzinach marszu znalazł się w miejscu, w którym od wielu dziesiątków lat nie stanęła noga ludzka i jeżeli nie opanuje swojego podniecenia, to nie wróci do domu, a przynajmniej

nie wróci przy zdrowych zmysłach. Szaleństwo czało się w każdym zakamarku jego umysłu, który odbijał teraz w sposób doskonały wszystkie bodźce dzikiej do granic możliwości natury. Kowan nie zdawał sobie z tego sprawy, ale stał oko w oko z rzeczywistością, która — gdyby choć odrobinę był człowiekiem refleksyjnym — niechybnie objawiłaby mu swoje prawdziwe oblicze.

Było jednak inaczej. Mężczyzna opanował drzenie ciała, wyjął z przewieszanej przez ramię torby woreczek ze zmieszany z żywicą ziołami, i zapalił kadzidło duchom, których nie było, a które stworzył w swoim mózgu. Uosobił dźwięki otaczające jego ciało i zamiast zrozumieć świat, w sposób prymitywny uciekł poza zasłonę mitów, otaczających święty przybytek tego co jest.

Siedząc na ziemi rozmyślał o konflikcie swojego pragnienia wypraw łowieckich i obowiązku codziennego zastawiania łapek na króliki i inne drobne zwierzęta. Pielęgnował swoje pragnienie, ale równocześnie ze zrozumieniem przytakiwał społecznemu obowiązkowi zaopatrywania ludności miasteczka w mięso. Kowan podniósł głowę i wyciągnął szyję, patrzył prosto w okno nad jego głową, gdzie fragment niebieskiego nieba uspokajał — był zbyt daleko by niepokoić. Przymknął powieki i opuścił głowę, próbował się modlić, aby obłaskawić duchy lasu, które powinny udzielić mu odpowiedzi na rozterkę sprowadzającą się do pytania: wolność czy odpowiedzialność?

Szybko zapadająca ciemność uświadomiła mu, że nie zdąży już wrócić do osady i zaczął intensywnie pracować nad zapewnieniem sobie bezpieczeństwa, ciepła i wygody podczas nadchodzącej nocy, czyli gniazda naciętych jedlin, ogniska, wielkiego stosu uschniętych gałęzi w zasięgu ręki i broni opartej o kolana. Jednak, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, ani noc, ani dzień nie dały ukojenia jego rozwiercanej niepokojem duszy.

*

Amadeusz Weitz, w szlafroku i z zaczerwienionymi od niewyspania oczami, od pewnego czasu stał przed swoją biblioteczką i jak zawsze nie mógł się zdecydować po którą sięgnąć tym razem książkę, kiedy do drzwi jego domu ktoś zapukał. Zdziwiony tym faktem, na który czekał latami, tym bardziej, że pora na odwiedzinę była dość dziwna, stał bez ruchu by po chwili zerwać się i pobiec w stronę wejścia. Za drzwiami stała Lena Kowan.

— Przepraszam, że przeszkadzam... — zaczęła.

— Ależ... — przerwał, ale uznawszy że to niegrzeczne, zachęcił ją do dalszego ciągu.
— Przepraszam, no, no, co tam...

— Martwię się, ale to nic, mogę się martwić o niego i tak bym nie przyszła, ale przyszłam, bo on zawsze wracał przed zmrokiem — w jej oczach pojawiły się łzy — a to już prawie rano.

Burmistrz ze zrozumieniem przytaknął głową, był zaniepokojony.

Nie lubił jeśli w społeczności miasteczka coś układało się nie tak, jak powinno. Nie chodziło mu o to, żeby układać życie osady jak w jakiejś literackiej utopii, ale większych zgrzytów nie przewidywał. Ta sytuacja była już drugą w przeciągu niedługiego okresu czasu, która go zaniepokoiła, więc postanowił jej nie zlekceważyć.

Popatrzył za okno, pogoda była ładna, Kowan miał na pewno przy sobie dwururkę, raczej mało prawdopodobne, żeby coś mu się stało, a jednak go nie ma. Przypomniał sobie nagle scenę pod oknem Lunschów i przez jego głowę przemknęło przypuszczenie, że Jonatan przedłużył swoją wizytę. No tak, ale o tej porze Wincent na pewno jest w domu.

Burmistrz zafrapował się, drapał się po głowie, łupież sypał się na jego ramiona, w końcu zaproponował Lenie fotel i coś mocniejszego do picia. Przyjęła szklankę z wdzięcznością.

— Czy zauważyłaś coś dziwnego, coś innego w jego zachowaniu w ostatnim czasie? — zadał pytanie.

— Dziwnego, nie dziwnego nie, ale... — urwała, wyraźnie bojąc się mówić dalej.

— Nie chcesz to nie mów, ale przypominam ci, że już prawie świta a nie ma go w domu.

— Dziwnego nie, ale... coraz częściej od długiego nawet czasu, bo kiedyś też, ale rzadziej, ale teraz częściej... coraz częściej mówił o długich wyprawach.

— Jakich wyprawach?

— No takich łowieckich, chciał nawet kupić sztucer z magazynu, albo od Wincenta bo nie używa...

Zaniepokojenie Burmistrza wzrosło. Jonatan mógł sobie zniknąć i na tydzień, mógł utłuc sto jeleni, ale jeżeli ta informacja dotarłaby do innych, to albo zniszczyliby tę inicjatywę w zarodku, jak w przypadku Wincenta, albo...

Tak, Amadeusz Weitz nie mógł pozwolić aby zwyciężyła ta druga możliwość i każdy robiłby, co mu się podoba. Upadłyby wtedy jego wizje, nad którymi tak długo pracował by je urzeczywistnić, upadłyby interes Gumna i razem ze swoją starą zdechliby z głodu. Czy ucierpieliby pozostali? Jedyne w tym sensie, że nagle sami musieliby zacząć się martwić o to, co włożyć do gęby. Nie, nie mógł pozwolić na samowolę Kowana, tak jak nie pozwolił na samowolę Jonatana.

— Czy mówiłaś komuś o tym, że Jonatan zniknął?

— Nie.

— Dopiero jedna noc...

— I jeden dzień — dodała.

— No właśnie, jeden dzień i jedna noc minęła odkąd zniknął, musimy poczekać. I proszę cię i zaklinam na wszystko, żebyś nikomu nic nie mówiła na ten temat, dobrze?

Lena popatrzyła zdziwiona na Weitzę. Przecież powinien zarządzić poszukiwania, coś zrobić, a on każe czekać i jeszcze w dodatku nic nie mówić.

— Dobrze? — powtórzył prośbę tonem, który brzmiał rozkazująco.

— Zrobię tak, chociaż...

— Proszę, zrób tak, a ja się tym zajmę — obiecał uspokajająco obejmując kobietę ramieniem.

Weitz odprowadził Lenę do drzwi i pożegnał najbardziej szczerym uśmiechem na jaki było go stać, jednak gdy tylko drzwi za nią się zamknęły jego twarz stężała. Wrócił do saloniku i stanął przed biblioteczkę, jakby mogła wyratować go z trudnej sytuacji. Tytuły książek to uspokajały, to pobudzały jego myśli do szybszego analizowania sytuacji. Walczyć o zachowanie w tajemnicy wyskoku Kowana, a może publicznie go napiętnować? Opuścić miasteczko, które zarażone grzechem pierworodnym nie podźwignie się z upadania w anarchię, a może pozostawić rzeczy swojemu biegowi i rozwiązanie znajdzie się samo?

*

Kiedy Gren któregoś razu uczestniczył w Nocy Korzeni Brat Karduean opowiedział im legendę o Górze Szapoka. Szapok był wodzem plemienia Skalnych Ludzi, który rządził nimi w krainie tuneli i komnat wydrążonych w górze za Kedrowym Lasem. Kiedy wybuchła Wojna CZA, Szapok ufny w siłę i zręczność swoich wojowników opuścił górę, aby stanąć do współzawodnictwa o władzę i bogactwo. Czarnoksiężnicy walczyli o wiedzę i magię i nie zależało im na władzy i bogactwie, ale widząc Szapoka i jego wojowników nie namyślali się zbyt długo. Przybyły z Krainy Lodu Nortander rzucił urok, który sprawił, że po powrocie Szapoka z łupami do swojej góry zastygł on z całym ludem zalany lawą, która wydobyła się z jej wnętrza. W ten sposób, zaklęcie przyniesione z pola bitwy przez wodza uwięziło cały jego lud na zawsze w górze. Od tamtej pory każdego kto się odważyłby tam zbliżyć miałaby czekać przykra niespodzianka. Nie wiadomo jednak jaka, gdyż nikt stamtąd jeszcze nie powrócił.

Właśnie ta opowieść przez lata tak pobudzała wyobraźnię Grena, że wybrał się na wyprawę, której oplakane skutki teraz przeżywał jako najgorszy koszmar. Bez sił, bez nadziei, z wnętrznościami rozdieranymi największym żalem i trwogą młody Tkiomala dał się pochłonąć skale.

Nie wiedział ile czasu upłynęło odkąd przestał cokolwiek widzieć. Dziwiło go dlaczego może oddychać. Wokół nosa i ust skała była jakby rzadsza. Jego ciało zmieniało położenie. Kiedy napinał mięśnie, tak jakby chciał wykonać ruch ręką, to po długim czasie ręka rzeczywiście wędrowała w tamtym kierunku. Nabrał nikłej nadziei, że jeżeli wytrwale będzie napinał mięśnie do przodu, to może wyjdzie z tej pułapki.

Twarda skała niespodziewanie rozluźniła się wokół jego głowy, a obsypujący piasek zabrzmiął w jego uszach suchym dźwiękiem niezrozumiałych słów.

— *Kto, kto to?* — *Wykrztusił drżącym z przerażenia głosem.*

Najwyraźniej ktoś, albo coś mówiło do niego w jakimś języku. Próbował wylapać pojedyncze słowa, ale w jego umyśle niespodziewanie pojawiały się tylko dziwne symbole i plamy. Oślepiająca kolorowymi blaskami biała płaszczyzna przesuwiała się pod nim jakby był lecącym nad nieznanym lądem ptakiem, zrobiło się zimno, tak zimno, że ocknął się z tej wizji i znowu krzyknął.

— *Czego chcesz?!*

Wokół jego twarzy i całego ciała skała zaczęła przesypywać się jak piasek. Poczul ból, a w nowej wizji zobaczył matkę, jak coś mówi do niego, ale nie mógł jej usłyszeć. W pewnym momencie doleciał do niego jej głos. Był męski i mówił tym samym co skała, niezrozumiałym językiem.

Jego nos poczuł powiew świeżego powietrza. Otworzył oczy i ujrzał światło dzienne. Kiedy mógł już oderwać się od ściany w ciągu kilku chwil żółta brama Kerdowego Lasu zamknęła się za nim. Biegł przed siebie nie oglądając się do tyłu.

— *Mamo, Gren był synem Szapoka, prawda?* — *Eli przerwał matce czytanie i chwycił ją spoconymi rączkami za ramię.*

Kobieta popatrzyła zaczerwienionymi oczami na synka i nie odpowiadając mu na pytanie ciągnęła dalej baśniową opowieść.

Po zapadnięciu zmroku zwałił się ciężko w jamę wypełnioną liśćmi. Zasnął, ale ledwie las zaczął szarzeć od nadchodzącego dnia poderwał się do nowego biegu. Co jakiś czas padał na ziemię z braku tchu i omdlenia mięśni. Grzebał wtedy zapamiętałe w butwiejących liściach, aż znajdował jakiś korzonek i posiliwszy się nim podrywał swoje ciało do nowego biegu. Było już dużo bliżej końca dnia niż początku, gdy poczuł znajomy zapach rzeki, za którą będzie mógł wszystko zapomnieć.

*

Lunsch otworzył oczy i półprzytomnie popatrzył na pochylone nad nim twarze. Jedna podobna do drugiej, biała z kłującym w niemiły sposób wzrok zarostem. Pulsujące szczęki, które rozwierały nad nim swoje czarne czeluście pomiędzy rzędami wrogich zębów. Świergot tysiąca ptaków zagłuszał słowa stojących nad nim mężczyzn i dlatego nie usłyszał, ani nie domyślił się treści ich pytań. Próbował wstać w przeczuciu, że tego oczekuje od niego zgromadzenie, ale dotkliwy ból nogi sprawił, że syknął i znowu zapadł w malignę.

Kiedy ponownie otworzył oczy stwierdził, że leży u siebie w łóżku. Nie poznał Kowana, który w tym momencie podszedł do jego szafy i wyciągnął z niej jego sztucer. Patrzył tępo jak ten ociera rękawem koszuli jego lufę, przykłada kolbę do piersi i gładzi palcem spustu. Mierzy w lampę, okno, ścianę nad głową Wincenta, w jego półotwarte usta. Broda Kowana zatrzęsała się ze śmiechu, ale Lunsch słyszał tylko syk powietrza wyduszanego przeponą z płuc mężczyzny z bronią. Do Koran, która pracowała w kuchni, dobiegł wyraźny śmiech i z niepokojem zaglądnęła do pokoju. Zobaczyła Kowana, który trzymając wylot lufy tuż przy ustach Wincenta, wydobyl z broni miękki trzask odciąganego spustu.

Wiedziała, że wystarczy delikatne dotknięcie palca, aby przyspieszacz zadziałał i broń wystrzeliła, więc nie namyślając się długo doskoczyła do Jonatana i wyrwała mu z ręki karabin. Tym razem wylot lufy wylądował na wysokości piersi Kowana.

— Wynoś się stąd — syknęła głosem pełnym nienawiści.

— Jemu ta broń jest nie potrzebna, a mi się przyda, przecież widzisz, że po tym wypadku jeszcze bardziej nie kontaktuje. Poza tym jego noga nie wygląda w porządku, pewnie nie będzie mógł chodzić...

— Wynoś się stąd! — krzyknęła a jej palec drgnął na odciągniętym spuście.

Rozległ się huk. Koran krzyknęła i uderzona odrzutem karabinu prosto w pierś zatoczyła się do tyłu. Wystrzał zaskoczył zarówno ją, jak i kończącego w tej chwili życie Jonatana, który leżał charcząc na deskach podłogi. Jego odwrócone białkami do światła dziennego oczy i wydobywająca się z ust przy każdej próbie oddechu krwawa piana, świadczyły o tym, że nie ujrzy już lasu, ani swojego dziecka, ani nic.

*

Amadeusz Weitz otworzył drzwi w przeczuciu, że za nimi znajdzie Lenę Kowan, ale wbrew jego oczekiwaniom ujrzał Koran Lunsch. Miała spuchnięte oczy a cała jej postawa wyrażała żal. Wpuścił ją do środka, ale nie odpowiedziała na próbę pocałunku, normalnego jeżeli dwie osoby łączy lub łączyło coś więcej niż zachowanie przyzwoitej odległości na wyciągnięcie ręki i nie zdążyli się jeszcze poważnie pokłócić. Wyczuł, że stało się coś poważnego, ale zanim zadał pytanie Koran wydobyła z siebie świst.

— Zabiłam go.

— Co? — próbował nie zrozumieć treści jej wypowiedzi.

— Zabiłam go.

Oboje milczeli, Amadeusz jeszcze nie myślał, ale przeczuwał problem, który zburzy jego spokój.

— Zabiłam go — powtórzyła.

Usiadł ciężko na fotelu i rozpiął kołnierzyk koszuli o kilka guzików, tak, że jego owłosiona klatka piersiowa zaczęła grać pierwszoplanową rolę w scenerii pokoju. Postanowił zdobyć na początku jak najwięcej informacji.

— Jak go zabiłaś?

— Zastrzeliłam.

— Gdzie?

— W domu, u mnie.

— Dlaczego?

Zapadła cisza.

— Z jakiego powodu? Przecież możesz mi wyjaśnić, czy to był przypadek, czy celowo go zabiłaś, albo...

— Przypadek! Przypadek! Przypadek... — Koran rozplakała się.

— Uspokój się, no dobrze, przypadek, chyba ci go nie żal, sama mówiłaś, że coraz bardziej przypomina swojego konia, a nie człowieka. Dobrze pracował, ale szczęśliwa z nim...

Przerwał na widok pełnego zgrozy wzroku kobiety.

— Ja zabiłam... Jonatana...!

Oślupiał, wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że sprawiedliwość ziści się tak szybko i to z tak niespodziewanej strony. Chociaż... pół roku temu Wincentowi sprawiedliwość została także oddana, mniej czy bardziej przypadkowo, ale z ręki Koran. A dzisiaj... Jonatan... niebezpieczna kobieta, stanowczo zbyt niebezpieczna. Skutecznie, chociaż niechęć, broniąca interesów społeczności, ale... niebezpieczna. Prawdziwa bogini sprawiedliwości.

Burmistrz otrząsnął się i zaczął jeszcze bardziej intensywnie analizować sytuację, a przedstawiała się następująco. Jonatan Kowan, jeżeli Koran przyniosła wiarygodne wieści, nie żył. Zniknęło tym samym niebezpieczeństwo rozprężenia dyscypliny, czy zupełnie? Pojawiło się wszak niebezpieczeństwo innego rodzaju, dużo mocniejszej rangi... morderstwo. Nie mógł przecież ogłosić, że Koran wykonała wyrok na nieposłusznym, gdyż nieposłuszeństwo miało pozostać w tajemnicy. Nie mógł także zataić prawdy o śmierci Jonatana, Lena na pewno będzie dochodziła prawdy i rozpowie wszystkim o jego zniknięciu łącznie z domysłami o powodach, które nim kierowały. Tak, jeżeli ukryje winę Koran to on sam będzie głównym podejrzanym, a tego nie chciał.

Podszedł po raz kolejny tego wieczora do zastawionych książkami półek i przerzucał wzrok z jednego tytułu na drugi, kiedy Koran się odezwała proszącym głosem.

— Pomóż mi...

Teraz już wiedział, że jej nie pomoże... Mało tego! Oskarży ją i... straci!

— Pomogę ci, a teraz idź do domu, muszę przemyśleć sytuację.

Koran podeszła do niego i zaczęła gorąco całować jego usta i twarz, nie oponował, sprawiało mu to nawet przyjemność mimo świadomości, że jutro rozkaże ją zabić.

*

Był późny wieczór i Burmistrz rozmyślał nad najbardziej skutecznym sposobem takiego ogłoszenia i wykonania wyroku na Koran, żeby zamknąć jej usta nim zacznie się bronić, kiedy usłyszał wyraźny krzyk. Odchylił zasłony i stanął w oknie, za szybą dwie obce postacie dźgały ostrymi narzędziami jednego z mieszkańców. Dom naprzeciw właśnie zajął się ogniem. Spojrzał na magazyn, na werandzie stała żona Gumna. Jej mąż leżał martwy na ziemi. Kobieta nuciła coś jakby pod nosem, w każdym razie poruszała lekko ustami i kołysała się na boki kiedy

przeszyła ją strzała z kuszy. Amadeusz Weitz zrozumiał, że lata spędzone nad budowaniem społeczeństwa w osadzie Pickdawon własni zostały przekreślone.

Burmistrz oderwał się od szyby i otworzył szafkę z bronią, ale po namyśle podszedł do biblioteczki, wyjął spomiędzy książek czysty zeszyt, rozsiadł się wygodnie w fotelu i odkręcił nasadkę wiecznego pióra.

Skrzypienie stalówki po papierze było na tyle głośne, że powstrzymało na ułamek sekundy wejście człowieka, który stanął w futrynie otwartych mocnym kopnięciem drzwi. Zdezorientowany spokojem siedzącego w fotelu Burmistrza właściciel zabłoconego obżyna oddał strzał z pewnym opóźnieniem, w dodatku chybiony i zamiast głowy Amadeusza Weitza pocisk rozbił w drobny mak stojącą przy fotelu lampę, jedyne źródło światła w pomieszczeniu.

*

Huk i błysk uderzającego w pobliżu pioruna wyrwał Amadeusza z koszmarne snu. Przez dobrą chwilę nie mógł uwierzyć, że napad barbarzyńców na miasteczko nie odbył się naprawdę i na razie nic nie zagraża bezpieczeństwu osady. Otóż nie! Zagraża! I to bardziej niż horda bandytów. Miasteczku zagraża rozkład od wnętrza, rozkład moralny.

Nagle Burmistrza coś tknęło, coś świdrującego klatkę piersiową od środka, co kazało mu wstać natychmiast z łóżka i zapalić światło.

Z namaszczeniem przemierzył dobrze udeptaną pomiędzy fotelem i stołem ścieżkę do półki z książkami. Powiódł z namysłem palcem po grzbiecie *Państwa* Patjana, *Ustroju Politycznym* Amagłajasza, po grzbietach kilku jeszcze książek, aby dłużej zatrzymać się przy Nakalelim i Geglu, aż wreszcie zdecydowanym ruchem wyłuskał jeden z tomów *O Państwie Bożym* Justina.

Amadeusz Weitz otworzył księgę na którejś ze stron i zahaczył wzrokiem kilka niezrozumiałych wersetów.

De Civitate Dei — przeczytał głośno z napisanej w starym języku książki. W pewnym momencie przeczytał zwrot *civitas terrana* a zaraz potem *civitas Dei* i nagle doznał olśnienia i przypomniał sobie znaczenie tych kluczowych słów. Pamiętał je jeszcze z przypisów tłumaczenia tego dzieła, które czytał przed laty, a którego treść teraz mgliście docierała do niego: *miasto ziemskie* i *miasto Boga*.

Tak! To jest to! Miasteczko dojrzało do tego żeby przestać być republiką niedoskonałą, gdzie panują prawa ludzkie i umowa społeczna. Pickdawon potrzebuje być państwem, gdzie panują prawa nadprzyrodzone, nieziemskie. Tak! Jeżeli mieszkańcy będą się obawiali tajemniczego pochodzenia praw i zasad to na pewno łatwo zniosą każdy niesprawiedliwy wyrok — także ten, który jutro dosięgnie Koran z jego ręki, czy ten który Koran nieświadomie wykonała na Jonatanie — za nieposłuszeństwo! I nie ma potrzeby ukrywania tego nieposłuszeństwa. Nie! Trzeba je napiętnować!

Burmistrz rozjaśnił czoło, ale zaraz potem je zmarszczył snując wyobrażenia kultu, który już niedługo zakiełkuje w Pickdawon.

*

Wincent Lunsch wyczekał dobrą chwilę od ostatniego uderzenia pioruna i powoli uniósł tułów. Znajdował się na łóżku już dzień i noc, więc odczuł zawrót głowy, ale ból ustąpił i mógł powoli usztywnioną nogę postawić na podłodze. Obmacał obitą głowę — miał mokre od potu włosy i spuchnięte skronie. Przez chwilę wahał się czy spróbować stanąć o własnych siłach, ale zwyciężyła chęć wykonania postanowienia i uwolnił swoje ciało od bezwładności. Przesunął się chwiejnie do okna, z którego szpar ciągnął przyjemny chłód.

Podjął z podłogi karabin, który leżał tam odkąd Koran zabiła Kowana i zawiesił na ramieniu. Przed wyjściem spojrział jeszcze na śpiącą Koran i posłuchał jej delikatnego chrapania. Nawet nie zdjęła butów, tylko legła znużona przeżyciami na posłaniu. Nie budził jej, była mu całkowicie obojętna.

Koń delikatnie parsknął i grzebnął kopytem o klepisko, kiedy Wincent otworzył drzwi do szopy. Wyciągnął z kieszeni płaszcza słodki łąkoć i pozwolił zwierzęciu na łapczywe, choć ostrożne kłapanie wargami. Kuśtykając wyprowadził konia na podwórze. Wrócił po siodło i narzucił je na przyjaciela. Z trudnością, pokonując niewygodę unieruchomionej nogi usadowił się na zwierzęciu, by po chwili, nie oglądając się nawet za siebie wyjechać na drogę.

Kiedy dotarł do wbitego w ziemię pala z końską czaszką nadchodzący świt rozjaśnił na wschodzie głęboki granat nocy. Wincent wciągnął przez nos powietrze głęboko w płuca, aż do przepony. Było wilgotne od opadającej rosy, pachniało ziemią, trawą i pobliskim lasem.

Kiedy po dłuższej chwili wypuszczał ocieplony przez jego ciało i pełen pary wodnej gaz, stało się coś dziwnego. Oczy mężczyzny zaczęły znowu, tak jak kiedyś, patrzeć przytomnie na świat dookoła.

— Tak... — z jego milczącej od kilku miesięcy krtani wydobył się chrapliwy i przeciągły szept.

WSZECHŚWIAT

(1995)

— Z jakiej uczelni jesteście? – zza przyciemnianych szkieł okularów korekcyjnych Jana Chabrowskiego nie było widać autentycznego zainteresowania odpowiedzią na zadane pytanie.

Był rok 2015 i od pięciu lat wprowadzał do laboratorium największego na świecie Instytutu Fizyki Wielkich Energii w Beskidzie Żywieckim coraz to nowe grupy studentów. Liczył sobie blisko dwa metry wzrostu, był chudy i garbił się niemiłosiernie, dlatego biały kombinezon z plakietką IFWE wisiał na nim jak na kiju od szczotki.

— Uniwersytet Olsztyński, Wydział Biofizyki, rok trzeci, seminarium Biomikroelektroniki Stosowanej – usłyszał gorliwą odpowiedź wysuwającej się do przodu studentki o niebieskich, pełnych energii oczach, prostym, mocno zarysowanym nosie i zdecydowanej postawie ciała.

— Jesteś wodzem tego plemienia? – spieszył ją wyraźnie.

— Może raczej starościna roku – szybko odzyskała pewność siebie – a pan kustoszem tego muzeum?

Cisza.

— Ładny docinek – uśmiechnął się przez tajemnicze szkła – wynik: jeden do jednego.

Nastroje w grupie najwyraźniej się rozluźniły.

— Zatem jesteście biofizykami, niewiele wiecie zapewne o fizyce jądrowej.

— Ta wizyta inauguruje wykłady z tego przedmiotu, niestety nasz wykładowca zachorował i przyjechaliśmy sami – starościna kontrolowała sytuację.

— No dobrze, zatem do rzeczy. Nie jest to bynajmniej muzeum lecz najnowocześniejszy na świecie instytut naukowy, a ja jestem – tu zawiesił głos – profesorem zwyczajnym fizyki jądrowej Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Stanu Columbia w USA oraz członkiem rady naukowej PAN i doktorem honoris causa Uniwersytetów we Fryburgu w Szwajcarii i Oxford w Wielkiej Brytanii – zapowietrzył się.

— Instytut Fizyki Wielkich Energii współtworzyłem – ciągnął dalej wykład – w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego pierwszego wieku w oparciu o finansowanie Komisji Badań Naukowych Unii Europejskiej. Jako rok powstania tej inwestycji można przyjąć rok 2004. Mamy tu obecnie całkiem duże miasteczko. Zatrudniamy blisko sześciuset naukowców z całego świata, towarzyszą im rodziny i dwa tysiące pracowników różnych szczebli od sprzątaczek do dyrektorów administracyjnych.

W części południowej instytutu zwiedzicie osiedle, w którym mieszkają wszyscy naukowcy i część pracowników, pozostali dojeżdżają z okolicznych osad i miasteczek.

W częściach wschodniej i zachodniej posiadamy budynki administracyjne, łącznie z najnowocześniejszymi wyposażonymi salami wykładowymi, wspaniałym hotelem dla gości i uczestników licznie odbywających się konferencji naukowych oraz salami gimnastycznymi boiskami, basenami, siłowniami a nawet ciągnącym się trzy kilometry polem golfowym. Poproście swoich opiekunów także o małą wizytę w kasynie – mrugnął okiem do najbliższego studenta.

— Teraz jednak znajdujecie się w sercu instytutu. Tworzy go nowocześniejsze urządzone laboratorium, którego jestem dyrektorem, a które znajduje się w podziemiach zabudowań północnej części IFWE.

Ukryty trzydzieści metrów pod ziemią największy na świecie akcelerator rozpędza cząsteczki do prędkości 99,87% prędkości światła i rozbija je w dowolnie wybranej konfiguracji. Położone w pięciu poziomach laboratoria opracowują teoretycznie doświadczenia i przygotowują materiał i próbki do przeprowadzanych tutaj eksperymentów. Akcelerator jest odgradzony od nich pięciometrowej grubości żelbetonem i płytami ołowianymi, mamy tutaj do czynienia naprawdę z olbrzymimi energiami.

— Czemu służy tak potężna inwestycja? – odezwał się jeden ze studentów – czy nie jest to przerost formy nad treścią?

— Odważne pytanie – profesor wyraźnie się ożywił – ale jak najbardziej słuszne. IFWE służy po pierwsze doraźnym badaniom nad wykorzystaniem nowych źródeł energii. Jest to cel praktyczny, związany z wyczerpywaniem się światowych zasobów kopalin, głównie węgla i ropy naftowej. Sami państwo wiecie jak ważny dla ludzkości jest ten problem.

Celów teoretycznych natomiast jest kilka. Przede wszystkim możemy opracować tutaj dokładny model budowy mikrocząstek, takich jak mezony, czy też możemy badać antymaterię...

— A właśnie – przerwał młodzian w czerwonym swetrze z potarganymi włosami – tyle słyszemy o tym, że przypadek sprawił, iż w pierwszych sekundach po Wielkim Wybuchu, w wyniku którego narodził się wszechświat, dalej jego ewolucja potoczyła się drogą materii a nie antymaterii, ale co to właściwie jest ta antymateria.

— No, proszę państwa – profesor ożywił się jeszcze bardziej i zaczął gestykulować – powinni was uczyć tego na pierwszych wykładach z fizyki, jeszcze w szkole średniej, ale do rzeczy, do rzeczy. Materia jest to zbiór cząsteczek, gdzie jądro atomowe nosi dodatni ładunek elektryczny, zaś elektron ujemny ładunek elektryczny. Antymateria zaś przeciwnie! Jądro atomowe jest ujemne a elektrony dodatnie. We wszechświecie najprawdopodobniej nie występuje ona prawie w ogóle, może w niektórych tajemniczych jeszcze dla nas rejonach kosmosu jak czarne dziury. Na szczęście możemy ją wytworzyć sztucznie, właśnie w akceleratorach jak ten i możemy badać jej właściwości. Przecież jądro z jednym elektronem – wodór – może mieć zupełnie inne właściwości przy odwróconych ładunkach – to właśnie staramy się badać.

Studenci słuchali z zaciekawieniem.

— Poruszył pan jednak kluczowe dla nauk przyrodniczych zagadnienie – profesor zawiesił głos – problem początków wszechświata. W naszym akceleratorze, który ma czterdzieści kilometrów długości wytwarzamy poprzez zderzenie rozpędzonych cząstek niektórych ciężkich pierwiastków tak potężne energie, że temperatura w momencie wykonywania takiego

zderzenia sięga miliardów stopni, obecne przy zderzeniu cząstki rozpadają się na mikrocząstki, takie właśnie warunki badamy jako prawdopodobne dla pierwszych chwil znanego nam wszechświata.

— Czy w takiej temperaturze można cokolwiek rejestrować, a przede wszystkim cokolwiek badać? – studenci wyraźnie się zaciekawili, aczkolwiek padające pytanie nosiło lekki odcień sceptycyzmu.

Profesor Chabrowski zwykle oddawał u wejścia do akceleratora kolejne grupy studentów jednemu ze swoich asystentów, który oprowadzał ich po muzeum i sali pamiątkowej IFWE, tym razem jednak dał się wciągnąć w dyskusję.

— Proszę państwa. Oczywiście, że nasze przyrządy pomiarowe nie są w stanie rejestrować wszystkich parametrów, zasada nieoznaczoności Heisenberga jest nam tutaj oczywistą przeszkodą, ale pamiętać należy, że zasada ta, czyli niemożność równoczesnego odczytania pędu i położenia danej cząsteczki nie odnosi się do rzeczywistości, ale do naszej ułomności w poznawaniu mikrokosmosu. Dążymy do wypracowania takich metod badawczych, aby można było opisać pierwsze chwile wszechświata sekundę po sekundzie, pikosekunda po pikosekundzie.

W pierwszych chwilach panowała temperatura miliardów stopni, ciśnienie miliardów hektopaskali i energia miliardów miliardów Juli, mikrocząstki tworzyły energetyczną maź. W tych warunkach jądra, które powstawały rozpadały się natychmiast i trwało to przez około minutę. Po tym czasie temperatura spadła do około miliarda stopni i tym samym blisko jedna czwarta jąder okazywała się na tyle trwała, emitując część swojej energii w postaci fotonów, że możemy mówić o reakcjach termojądrowych, które sprawiły, że część energii została zachowana we wszechświecie w postaci pierwszych pierwiastków: helu i wodoru. Dopiero po okresie dalszego schładzania wszechświata powstały inne pierwiastki, jako pierwsze żelazo. W każdej chwili losy Kosmosu mogły potoczyć się inaczej pod wpływem różnych czynników. Na przykład gdyby Wielki Wybuch odbywał się wolniej, to zamiast tak wielkich ilości wodoru – najpowszechniejszego pierwiastka we wszechświecie i paliwa wszystkich gwiazd, które świecą nad naszymi głowami – powstawałyby pierwiastki cięższe, głównie żelazo. Wyobrażacie sobie, że nasz wszechświat mógłby być żelazny?

— Czy to nie jest niebezpieczne?

— Co niebezpieczne?

— No te doświadczenia z prowokowaniem Wielkich Wybuchów i obserwowaniem pierwszych sekund i minut ekspansji alternatywnych wszechświatów w akceleratorze?

Nastąpiła cisza.

— Niebezpieczne? Jazda na motorze jest bardziej niebezpieczna. Jak już mówiłem chronią nas potężnej grubości warstwy żelbetonu i płyt ołowianych, które pochłaniają promieniowanie. Nie myślcie, że jest to niebezpieczne tylko podziwiacie przed jak wielkim osiągnięciem naukowym stoicie, oto ludzkość stworzyła laboratorium, w którym obserwuje stworzenie wszechświata, pierwsze sekundy Wielkiego Wybuchu.

— Kiedy to się stało? – padło pytanie.

— Co? – profesor został wyrwany z zamyślenia.

— No, początek... ?

— Aa, początek..., jakieś dwadzieścia jeden miliardów lat temu. Potem mijały minuty, godziny, lata, wszechświat stygnął, powstawały nowe pierwiastki. Kiedy jeszcze bardziej ostygł powstały gwiazdy, galaktyki, jakieś pięć miliardów lat temu powstał nasz układ słoneczny i Ziemia, a na niej po kolejnych dwóch miliardach życie, a potem my... – profesor znów popadł w zadumę i zapatrzył się w przestrzeń.

— Powiem wam coś, co was zaskoczy – z błyskiem w oku zwrócił się ponownie ku studentom – kosmos zyskał w ludziach samoświadomość!

Przez moment obserwował, czy wywarło to na nich właściwe wrażenie.

— Innymi słowami, wszechświat w nas myśli i może sam siebie obserwować. To jest właśnie objawienie wspanialsze niż wszystkie religie! Zrozumienie że my, ludzie to myślący i samoobszerwujący się wszechświat, czy możecie to pojąć? Nasze oczy są oczami wszechświata!

Cisza.

— To nie wszystko! Wszechświat pulsuje! Teraz się rozszerza, ale za jakiś czas osiągnie punkt krytyczny i zacznie się kurczyć i wróci do punktu wyjścia. Oczywiście wiecie skąd wiemy, że wszechświat się rozszerza.

— Tak nie bardzo...

— W momencie, kiedy zbliża się do was samochód to odgłos jego silnika wchodzi na coraz wyższe tony, a gdy was mija to odgłos jest coraz niższy. Iiiijjeuuuu..., oznacza to, że fala dźwiękowa zbliżającego się samochodu dociera do nas częściej niż oddalającego się pojazdu. Ten sam efekt, tak zwany efekt Dopplera, zaobserwowano obserwując widmo galaktyk, to znaczy światło, które ono emitują. Otóż ich widmo jest poczerwienione, to znaczy fale są dłuższe niż powinny być, to znaczy, że galaktyki się od siebie oddalają, tak zresztą naukowcy doszli do wniosku, że skoro wszechświat się rozszerza to musiał być kiedyś moment początkowy, Wielki Wybuch a po angielsku Big Bang.

— A czy może być więcej wszechświatów? – padło kolejne pytanie.

— Jak to więcej wszechświatów? – profesor wydał się zaskoczony.

— No..., więcej wszechświatów – ciągnął student, tym razem w granatowym sweterku i z przylizanymi włosami. – Pewnie pan słyszał o takim zastanawiającym przykładzie. Jeżeli wyobrazimy sobie płaszczyznę, czyli dwa wymiary, w których możemy się poruszać to nie widzimy nic innego niż to co widzimy oglądając się dookoła i to jest nasz dwuwymiarowy wszechświat. Jeżeli jednak tą płaszczyznę opisujemy na kuli, czyli zbudujemy ją jako sferę kuli to nadal, przy ograniczonym naszym polu widzenia i dostatecznie dużym promieniu kuli, nie będziemy widzieli nic innego niż płaszczyznę dookoła, tak jak my w tej chwili widzimy Ziemię gołym okiem. W rzeczywistości jednak to będzie trójwymiarowy świat kuli, widoczny dla nas dopiero z pewnego oddalenia, z satelity lub księżyca. Może ten wszechświat, który badacie państwo w tym instytucie to tylko skończony kawałek jeszcze większego wszechświata? Może przypominać Ptolemeusza i dopiero kolejny Kopernik zaprzeczy tej teorii. Na pewno słyszał pan profesor o teorii paradygmatów naukowych, gdzie każda epoka naukowców mówi swoim językiem i gdy przyjdzie następna to zmieni zupełnie język i postrzeganie rzeczywistości

podobnie jak Newton zaprzeczył fizyce jakościowej Arystotelesa, Einstein zaś mechanikę Newtona uznał tylko za pewien szczególny przypadek teorii bardziej ogólnej a twórcy geometrii nieeuklidesowskich zmienili całkowicie nasze święte przekonanie, że przez dowolny punkt płaszczyzny biegnie jedna i tylko jedna prosta równoległa do danej prostej.

— To są herezje młody człowieku! – profesor się wyraźnie zdenerwował. – Przy obecnym stanie nauki, przy obecnym stopniu zaawansowania badań, przy tylu przykładach praktycznego zastosowania osiągnięć nauki i techniki, jak mikser do warzyw, samochód, lekarstwa i inne, nie może być mowy o pomyłce. Te przykłady, które pan podał dają się rozsądnie ująć w jednym systemie naukowym, w jednym wszech-paradygmacie.

Zresztą! Co prawda nie stosujemy w naszym instytucie dopuszczania osób z zewnątrz do eksperymentów, ale mam taką możliwość i mogą wprowadzić was do laboratorium, gdzie odczytuje się wyniki z urządzeń pomiarowych.

Rozległ się pomruk zainteresowania. Chabrowski skinął na grupę ręką i skierowali się do wejścia do olbrzymiego bunkra, wypinającego swoją olbrzymią kopułę nad placem na którym prowadzili dyskusję. Wprowadził kod dostępu na cyferblacie zamka i wrota nieznanego otworzyły się przed grupą. Nie musieli wiedzieć, że w wypadku najmniejszego zainteresowania grupy tematem zawsze wprowadzał ich do laboratorium pierwszego poziomu. Zwykle przedstawiał im kilku pracowników naukowych, pokazywał monitory komputerów, na których pulsowały kolorowo wskaźniki i wykresy zmiennych, dopuszczał do konsol przycisków, które sterowały eksperymentem.

Tym razem jednak wprowadził grupę podczas przygotowań do prawdziwego eksperymentu. Pracownicy krzatali się przy stanowiskach, uruchamiano po kolei olbrzymie monitory zawieszane nad głowami uczestników przedstawienia. Chabrowski przekazał grupę asystentowi i sam zniknął wśród gorączkowo pracujących naukowców.

— To nietypowe, że będziecie państwo uczestniczyli w eksperymencie – zaczął asystent – tym bardziej, że dzisiejsze doświadczenie jest szczególnego rodzaju.

Gwałtownie obrócił ku grupie twarz pełną wypieków.

— Spróbujemy – zatoczył ręką koło – odtworzyć pierwszą minutę wszechświata w tak wysokiej temperaturze, jakiej do tej pory nie udało się nigdy osiągnąć. Spróbujemy zderzyć

jądro złota z jądrem tytanu w obecność izotopów wolframu. Sami nie wiemy, co się dokładnie wydarzy, ale wszystko zarejestrujemy na urządzeniach pomiarowych. Każdą najmniejszą mikrocząstkę odwzorujemy na nieprawdopodobnie czułych kliszach holograficznych, dokładnie zarejestrujemy krzywą spadku temperatury i innych zmiennych. Po prostu zobaczymy na naszych przyrządach narodziny wszechświata.

W laboratorium zapanowała podniosła cisza, która udzieliła się studentom. Profesor Chabrowski skierował w ich kierunku swoje spojrzenie, pełne teraz władzy i dumy. Palec wskazujący trzymał na czerwonym przycisku, który miał uruchomić działo nukleonowe, które miało wygenerować jądro atomowe i puścić w szaleńczą wędrówkę po tunelu akceleratora, miał pokazać tej grupce studentów do czego doprowadziły go wytrwałe dążenie do wiedzy i brak zwątpienia w geniusz ludzkiego umysłu. Miał władzę wytworzyć pierwotne warunki narodzin ich wszystkich.

Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden..., nikt z obecnych na sali nie zdążył zarejestrować żadnym ze zmysłów momentu uruchomienia przycisku, ani nic innego. W chwilę po rozpoczęciu eksperymentu nowy Wielki Wybuch ogarnął instytut, w następnych sekundach Ziemię a w ciągu ośmiu następnych minut objął Słońce.

Układ Słoneczny, Galaktyka i najbliższe gwiazdy, które stygły i kształtowały się od kilku dobrych miliard lat zderzyły się z nowonarodzonym konkurencyjnym wszechświatem stworzonym przez boga profesora Jana Chabrowskiego w obecności grupki studentów z Olsztyna.

Wszechświat przestał myśleć w człowieku i nikt nie mógł zarejestrować kolejności tworzących się nowych pierwiastków, gwiazd, galaktyk.

BRACIA

(1995)

Mamy taki sam brązowy kolor oczu, strzyżemy się podobnie i chociaż dzieli nas pięć lat różnicy w tych samych miejscach robią się nam zmarszczki na twarzy. Wyjąłem lusterko i podstawiłem mu je pod nos.

— Jesteś do mnie podobny? – milczenie – no powiedz do cholery, że jesteś do mnie podobny!

— No... jestem... przecież mówiłem, że jestem... – popatrzył na mnie bezradnie.

— Jesteś, bo jesteś moim bratem, rozumiesz? – mój głos się załamał. Miałem dosyć.

Patrzyłem jak zacisnął powieki i tarł intensywnie czoło. Rękę miał całą pokłutą i fioletową od igieł welfronów. Tarł czoło dzisiaj już wielokrotnie i za każdym razem wzbudzał we mnie nadzieję, że wysiłkiem tego gestu rozgrzeje szarą galaretę pod czaszką i odzyska pamięć.

Nie pożegnałem się z nim nawet. Poczułem duszność i wycofałem się zrezygnowany na korytarz niezdarnie potrącając rozstawione krzesła i łóżka pacjentów. Chwiejnym krokiem pokonałem szare linoleum podłogi, ciągnąc dłonią po białych kafelkach lamperii z żółknącymi fugami. Nie wiem kiedy zszedłem po lastrykowych, wytartych schodach. Po prostu nagle znalazłem się na ulicy przed szpitalem. Wciągnąłem przez nos sporą porcję mroźnego powietrza.

Przejeżdżające samochody pozostawiały nieruchomo zastygające w przestrzeni spaliny, nad studzienkami zawisła lekka mgiełka, niebo zaciągnęło się zsiadłym mlekiem.

Zrobiło się poetycznie. Nabrałem lepszego humoru, splunąłem daleko przed siebie i polazłem do domu.

Kochałem mojego brata bardzo i chociaż nie spędzaliśmy ze sobą zbyt wiele czasu, bo każdy miał swoją rodzinę, pracę i grono przyjaciół, to czasami udawało się nam wyrwać tylko we dwóch na ryby, w góry, gdziekolwiek.

Tego fatalnego sobotniego popołudnia zadzwonił do mnie, że ma parę piw, kilka kielbas i pomysł na zaciszne miejsce nad rzeką z węgorzami. Niewiele się namyślając pożegnałem - najczulej jak potrafiłem - co najmniej nadąsaną małżonkę i już mnie nie było.

Tym razem była moja kolej na transport, więc wyciągnąłem motor z garażu sąsiada, gdzie moja maszyna miała swój przytulny kącik i nie zważając na pierwsze krople deszczu pojechałem po brata.

Przemierzyliśmy już ponad połowę drogi, kiedy rozpadało się na dobre. Rozglądałem się za jakąś wiatą czy innym schronieniem, dojeżdżaliśmy do szczytu jednego z licznych wzniesień, zrobiła się szarówka.

Wydarzenia potoczyły się szybciej niż w filmie akcji: dwie pary świateł z przeciwka, gwałtowne hamowanie, utrata kontroli nad kierownicą, wirowanie, koziółkowanie, uderzenie o ziemię, korona rozłożystego drzewa nade mną.

Mój nieszczęsny brat trafił w drzewo całym ciałem, osunął się obok mnie, krew, powykrzywiane członki, mój histeryczny płacz. Karetka pogotowia, niebieskie światła, białe fartuchy. Minęło parę miesięcy zanim odzyskał tydzień temu przytomność.

Dlaczego on nic nie pamięta? Z tego co mówią lekarze, jego pamięć wydarzeń i ludzi nie sięga dalej niż ostatnich siedmiu dni. W porządku, nie pamięta bliskich, dzieciństwa, rodziny; pamięta jednak jak jeść, mówić, spoglądać za pielęgniarkami. Widać, że podświadomie pamięta swoje poprzednie nawyki, dłubanie małym palcem w uchu, wzdrykanie się na dźwięk siorbania. Niech to szlag trafi, jego umysł jest prawie cały podświadomością! Strach, bezsilność, bezwładność, uderzenie i ból były tak silne, że podświadomie postanowił nic nie pamiętać – to jest czyste wygodnictwo a ja mam walczyć z jego lenistwem?

Bardzo trudno wygrać z lenistwem a jeszcze trudniej z leniem. Leniwy człowiek żyje wbrew pozorom kolorowo, wygodnie i bez wyrzutów sumienia. Inaczej niż pracowity: dzień za dniem, pochylony nad teraźniejszością, mamiony widokiem lepszej przyszłości a co

najważniejsze bez wychnienia poświęcony rodzinie i przyjaciołom. Leniwy człowiek - odwrotnie - żyje dla siebie samego, jest zwrócony ku sobie, jest mistykiem wpatrzonym z lubością w swoje pracujące miarowo trzewia. Jak ja go mam wyrwać z tego przyjemnego stanu nic-nie-pamiętania?

Pokazałem mu zdjęcia, bratowa pokazała mu cycki i może na osobności coś jeszcze – nie wiem. Zaprowadziliśmy go na grób matki. Ojciec przytulił go do siebie, w pracy usiadł za swoim biurkiem. Nic z tego.

— To musi być coś naprawdę mocnego coś, co przeświecili jego mózg – lekarz ordynator skręcał starannie w dwóch pozółkłych palcach holenderski pachnący wanilią tytoń i ślinił się do kręcącej się przy stoliku za moimi plecami pielęgniarki.

— Co znaczy mocnego? – denerwował mnie – mocny może być alkohol, uderzenie może być mocne, ale może być też mocne uczucie? Co pan rozumie przez „coś naprawdę mocnego”?

— Panie, a czy ja jestem duch święty co pańskiemu bratu przywróci pamięć? – wzruszył ramionami – może nic nie przywróci, a może pokaże mu ktoś czerwone podarte majtki i sobie przypomni wizytę w burdelu na Śląsku i cały łańcuszek wydarzeń znowu mu się poukłada w głowie.

Zadziwił mnie.

— Ja jestem chirurgiem – kontynuował śląc uśmiech za uśmiechem do białego fartucha, ciągle za moimi plecami – pacjent odzyskał przytomność, to można zacząć z neurologiem, psychiatrą i panią psycholog, nawiasem mówiąc już była u niego.

Milczałem bezsilnie.

— Aha, i jest książka o terapii osób z amnezją, niech pan zapisze tytuł i kupi w księgarni przy wyjściu z oddziału – nie omieszkał ubić przy okazji interesu.

Już widziałem oczyma wyobraźni jak upomina się o prowizję u księgarki.

Wszystko zaplanowałem bardzo starannie. Motor odebrany pół roku temu z warsztatu sprawował się mimo wieku i wypadku bez zarzutu: kasłał przy zapalaniu, pyrkał na wolnym biegu i wył radośnie wypluwając chmurę niebieskiego dymu, gdy wypuszczałem go na szerokie wody wysokich obrotów. Przekręciłem kluczyk, przykryłem siedzenie folią – siąpił lekki deszczyk – i zdjąłem kask. Nie mogłem go zabrać ze sobą więc po prostu przewiesiłem go przez kierownicę. Ryzykowałem niewiele, tylko jakiś kolekcjoner bardzo starych i zniszczonych kasków mógł się skusić na ten produkt polskiego przemysłu lat pięćdziesiątych.

Zapukałem do drzwi i czekałem, aż przyczłapie mama bratowej.

— Kto to? – odezwała się w końcu starczym głosem pełnym udawanej odwagi.

— To ja, Mietek – zbliżyłem twarz do wizjera – czy zastałem Jarka?

Szczęknął zamek.

— A gdzie ma być – ukazała się w końcu pomarszczona twarz teściowej – przecież wiesz, że jak nie bierzesz go na spacer to siedzi w domu jak kołek.

Skinąłem głową.

— Przyjaciele zapomnieli o nim zupełnie, Maria na jego rencie nie wykarmiłaby nawet jego, więc pracuje od rana do wieczora – powoli rozkręcała znaną mi dobrze historię – a gdzie dzieci, trójkę przecież zrobili. Dobrze, że ja chociaż mam jako taką emeryturkę, ale na spacer z nim nie mogę, no nie mogę; przecież nie dogonię go, wiesz jak szybko chodzi. A z dziećmi kto zostanie? Nie są jeszcze takie duże przecież, żeby same je zostawiać. Ala co prawda dwanaście lat skończyła, ale to naprawdę jeszcze dziecko, zapuka jakiś przebierany listonosz i otworzy. Tyle nieszczęść już się stało, po co następne prowokować. A Jarek sam na spacer nie wyjdzie...

— No właśnie – udało mi się wtrącić w jej monolog – chciałbym go zabrać na spacer.

— Deszcz przecież idzie – spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – Myślisz że puszcę was na zmoknięcie? Lepiej usiądźmy w kuchni, wypijemy herbatę z sokiem, pogadamy, a właśnie

co tam u ciebie? Jak się czuje Monika, czy była już u lekarza z tymi bólami głowy? Masz dalej tyle problemów z chłopakami?

Potrząsnąłem głową.

— Pójdziemy tu za róg, do baru, piwko, wie pani, może się mu coś przypomni.

— Och, jak wy piwko wypijecie, to na pewno mu się przypomni, a raczej zapomni jeszcze bardziej, chociaż dla niego to może i lepiej – pokiwała ze smutkiem głową – co to za życie w domu kleić koperty na lewo, żeby do renty dorobić?

Skinąłem głową.

— Przyjaciele zupełnie o nim zapomnieli, Maria na jego rencie nie wykarmiłaby nawet jego, pracuje biedaczka od rana do wieczora...

Zaskrzypiały drzwi i z pokoju wyszedł Jarek. Granatowy sweter z białym szlaczkiem na wysokości piersi, tłuste włosy gładko przyczesane do tyłu, mocno zużyte, ale idealnie wypastowane buty, w ręku brązowa parasolka. Popatrzył na mnie, ale w jego spojrzeniu nie było miłości braterskiej. Poznał mnie w szpitalu niecały pół roku temu i to wszystko. Jestem tylko kumplem, który zabiera go czasem na spacer.

— Idziemy?

— Idziemy!

— Tylko nie wróćcie późno, bo Maria się będzie denerwowała... – głos starej kobiety niósł się po klatce schodowej odprowadzając nas do drzwi wejściowych.

Na podwórku złapałem go za ramię.

— Mam dzisiaj dla ciebie niespodziankę – oznajmiłem mu tajemniczo.

— Niespodziankę? Nie mów mi, że nie idziemy na piwo – wyraźnie nie w smak mu było odstępstwo od rytuału.

— Zrób to dla mnie – zacząłem go prosić – wiesz, że nie jestem nachalny i nigdy nie próbowałem wbrew twojej woli robić cokolwiek, ale raz mi zaufaj i pozwól pokazać coś nowego.

Może niezupełnie nowego, ale nie mogłem mu o tym przecież powiedzieć. Żył w swoim świecie, otoczony przez obcych ludzi, którzy podawali się za jego rodzinę, w świecie klejenia kopert i regularnych piwek w moim towarzystwie lub spacerów na rynek przy ładniejszej pogodzie. Nie mogłem mu mówić o zaniku pamięci, książkach przeczytanych przeze mnie na temat amnezji i pomyśle. Doskonałym pomysłem, jak wywnioskowanym z tych książek.

Przeżycie, silne przeżycie, mówiąc naukowo przeżycie traumatyczne spowodowało u niego zanik pamięci. Co może ją mu przywrócić? Inne przeżycie traumatyczne! W podobnych okolicznościach! To był mój plan! Ta sama droga, to samo drzewo, ten sam motor, ten sam deszcz – oby tylko się rozpadało.

— Załóż to – Wyjąłem z bagażnika nowy, bezpieczny kask, za który zapłaciłem jak za zboże i kazałem mu wsiąść za mną na motor. Na jego twarzy pojawił się przeblysk, a może mi się tylko wydawało, przypomnienia.

Nie mogłem dłużej obserwować jego twarzy, bo zakryła ją ciemna szyba, a poza tym siedział za mną.

— Trzymaj się – odpaliłem maszynę.

Na szczęście się rozpadało, wiatr zacinał mi w oczy, mój stary kask nawet nie miał okularów. Z przeciwna raz po raz pojawiały się oślepiające reflektory, robiła się szarówka. Zbliżaliśmy się do pamiętnego wzgórza, w oddali widać już było koronę drzewa.

Nadal się zbliżaliśmy, sekundy zaczęły wyciągać się jak guma do żucia i mogłem perfekcyjnie kontrolować wydarzenia, pierś rozsadzało mi dumne i potężne poczucie władzy, to ja kierowałem rozwojem wypadków. Zredukowałem nieco prędkość, aby uderzenie nie było zbyt mocne i jak w zwolnionym filmie zjechałem z asfaltu. Moment przed tym, w sposób zupełnie przypadkowy, ale za to w doskonałej harmonii z moim zamiarem, naprzeciwko

pokazała się kolejna para reflektorów. Poczułem na ramionach potężny uścisk Jarka, widziałem, że jest przerażony zbliżającym się drzewem, to była nasza jedyna szansa. Uderzyliśmy.

Siedzę sobie na krawędzi stalowego łóżka z cienkim materacem, twarz wystawiłem do słońca. Jest tak intensywnie jasne, że przez zmrużone powieki nie widzę pionowych prętów w oknie. Jestem w szpitalu więziennym.

Podobno na procesie udawałem zanik pamięci, aby uniknąć wyroku. Nikomu nie przyszło na myśl, że faktycznie nic nie pamiętam. Nie pamiętam, bo nie pamiętam. Po prostu.

Z tego, co zrozumiałem miałem brata, który stracił pamięć w wypadku i ja próbowałem powtórzyć ten wypadek, aby mu ją przywrócić, co skończyło się nie najlepiej. Mój brat nie żyje, szczęściarz, ja natomiast siedzę na łóżku, też szczęściarz. Podejrzewam, że po tym zaniku pamięci, w który nikt mi nie uwierzył i tak raczej ciężko by mi się poruszało na zewnątrz, a tak sobie siedzę w więzieniu, karmią mnie, wyprowadzają na spacer, jak chcę to mogę dostać jakieś zajęcie.

Najbardziej jednak lubię jak słońce mocno świeci i mogę wystawić twarz w jego ciepłe promienie. Wtedy nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie pamiętam. Wtedy mam dobre samopoczucie.

GRACZ

(1995)

Wyjąłem z otwartej godzinę temu paczki ostatniego papierosa, przypaliłem go ostatnią z pudełka zapalką i poleciłem niższemu rangą policjantowi wprowadzić ostatniego z zatrzymanych.

— I niech ktoś kupi dwie paczki Marlboro – krzyknąłem za zamykającym drzwi policjantem, chociaż wiedziałem, że gdybym powiedział to szeptem to obserwujący i nagrywający przesłuchanie koledzy natychmiast spełniliby moje życzenie.

— Na razie nie mam czym pana poczęstować, ten papieros był ostatnim w paczce – wcisnąłem ostentacyjnie klawisz z napisem „start” w dużym magnetofonie kasetowym.

Gest ten miał wprowadzić przesłuchiwanego w błąd, że nasze spotkanie ma charakter zwykłego przepytywania świadka o przebieg zdarzeń i jedynymi jego uczestnikami jest on, ja i magnetofon. Facetowi drgnęły drwiąco kąciki ust świadcząc o tym, że kamuflaż na niego nie działa.

— Starszy inspektor Marcin Kaszka – przedstawiłem się – przesłuchuję pana w charakterze świadka na okoliczność śmierci Karola Zbirskiego, nazwisko i imię?

— Jarosław Dębski – patrzył prosto na mnie i ostentacyjnie wyciągnął z kieszeni marynarki pudełko drogich cygaretek.

— Wiek? – Wytrzymałem jego wzrok starając się nie myśleć o moim żalonym wyglądzie spoconego starszego inspektora w pomalowanym szarą olejną farbą gabinecie.

— Pięćdziesiąt pięć lat.

— Zawód?

— Inżynier mechanik.

— Gdzie pan pracuje?

— Nigdzie.

— Nigdzie?

Nawet nie drgnął, miałem do czynienia z prawdziwym pokerzystą, pięciu poprzednich było wyraźnie mniej wytrawnymi graczami.

— Z czego się pan utrzymuje zatem?

— Jestem właścicielem dwóch zajazdów pod Warszawą i nie muszę pracować, od tego mam dyrektorów – przypalił pierwszą cygaretkę i wypuścił nad moją głowę kłęb aromatycznego dymu.

— Często grywa pan w pokera?

— Mam wiele rozrywek, w pokera gram raz na kilka tygodni.

— To znaczy dość często.

— Nie nazwałbym tego tak, jeżeli coś się naprawdę lubi to chciałoby się to robić prawie codziennie – wybrnął znowu z kamienną twarzą.

— Zawsze w tym samym składzie?

— Jak pan wie, niewielu jest ludzi którzy lubią tę grę i równocześnie ich stać na to.

— Mógłby pan wymienić wszystkich, którzy z panem grywają.

— Nie.

— Nie?

— Nie, ponieważ jestem człowiekiem dyskretnym a tych, z którymi spędziłem ostatni wieczór zna pan dobrze.

— Proszę w takim razie wymienić nazwiska, tych którzy grali z panem ostatniego wieczora.

Wymienił bez zająknięcia sześć nazwisk.

— Wszyscy należeli do stałej ekipy?

— Tak, no może za wyjątkiem tego biednego szaleńca.

— Który raz z nim pan grał?

— Pierwszy.

— I tak dobrze zapamiętał pan jego nazwisko i imię?

— Do czego pan zmierza? – w tym momencie policjant wniósł papierosy i wymienił termosy z kawą i herbatą – jego nazwisko i imię wryło mi się w pamięć. Dodam, że bardzo głośnym wystrzałem i małym wiaderkiem krwi zmieszanej z kawałkami czaszki. Może pan jest przyzwyczajony, ale mnie spotkało to pierwszy raz.

— Dobrze, gdzie pan poznał denata? – pytałem dalej.

— Mój przyjaciel z ministerstwa, z którym już zapewne rozmawialiście przyprowadził go wczoraj o dwudziestej na partyjkę pokera.

— I co dalej?

— Przedstawił go i zaczęliśmy grać.

— W ilu? – kontrolne pytanie.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

— W siedmiu, mógłby pan zapamiętać po tylu godzinach tę liczbę – zadrwił.

— W siedmiu – powtórzyłem – kto siedział za panem zgodnie z ruchem wskazówek zegara?

Wymienił bezbłędnie.

— I co dalej?

— Krupier zaczął rozdawać...

— Ten sam krupier co zwykle? – przerwałem mu.

— Ten sam. Rozdawał karty, myśmy grali, szczęście najpierw uśmiechało się do ministra i adwokata Bońskiego, po jakiejś godzinie także do mnie...

Zaczął wymieniać najciekawsze układy, najwyższe przebitki. Wszystko się zgadzało, chyba faktycznie grali te bite sześć godzin. Zapalił kolejną cygaretkę, poprzednią zdusiwszy w połowie. Miał wysmukłe i zadbane dłonie, starannie przystrzyżone blond włosy bez śladu siwizny. Czarny garnitur z najwyższej jakości materiału, białą koszulę i rozluźniony krawat koloru bordo. Nie był wysoki, ale szlachetna twarz budziła respekt w wystarczający sposób; łączyła w sobie inteligencję i bezwzględność.

W końcu doszedł do godziny drugiej w nocy, kiedy to Karol Zbirski przegrał ostatecznie wysoką sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów, z którymi przyszedł na tę partię i wycofał się z gry strzałem z pistoletu we własną skroń.

— Jak pan mówi – zaciekawilem się jakbym słyszał to po raz pierwszy i jakbym nie miał za sobą dziewięciu godzin przesłuchań. – Karol Zbirski wyciągnął mały czarny pistolet kaliber sześć milimetrów i strzelił sobie tak po prostu w skroń?

— Tak jak mówiłem.

— Patrzył pan na to i nic pan nie mógł zrobić, nie próbował pan go powstrzymać?

— Siedziałem po przeciwnej stronie stołu, poza tym byłem sparaliżowany strachem, że ten szaleniec wystrzeli w moim kierunku.

— Nie widać po panu zmęczenia, grał pan przecież sześć godzin w pokera, czyżby czekając na swoją kolejność przesłuchania smacznie przespał się pan na niewygodnej pryczy celi? – przystąpiłem do kolejnego ataku.

— Jestem zaprawiony w nocnym trybie życia, zresztą sen sprawiedliwego nie jest niczym złym, nawet jeżeli parę godzin wcześniej widziało się trupa. Po co zresztą to całe przesłuchanie? Facet nie wytrzymał nerwowo przegranej i palnął sobie w łeb. Czy dlatego, że miałem pecha i minister przyprowadził świrusa, który postawił cały swój majątek i po przegranej przyłożył sobie broń do głowy mam teraz być przesłuchiwany jakbym to ja pociągnął za spust?

— To my decydujemy o interpretacji faktów dochodzeniowych i mamy prawo przesłuchać pana tak szczegółowo na tę okoliczność, jak nam się podoba.

Policjant wniósł teczkę i podał mi wyniki badań laboratoryjnych. Przejrzałem je. Ułożenie śladów krwi i odłamków kości na ręce i rękawie Zbirskiego świadczyły, że mógł oddać strzał w sposób w jaki sugerują przesłuchiwani pokerzyści. Podobnie ślady prochu i gazów wydechowych w okolicy otworu wlotowego świadczyły według specjalistów z laboratorium o bezpośrednim przyłożeniu lufy do skroni. Wszystko potwierdzało wersję pokerzystów. Odciski palców na broni i kartach, mikroślady na ciele, ubraniu i za paznokciami nie wskazują na jakąkolwiek próbę walki z napastnikiem. Nie był pod wpływem środków nasennych ani żadnych narkotyków, poziom alkoholu we krwi w momencie zabójstwa wynosił jedną trzecią promila. Czy zatem Zbirski faktycznie popełnił samobójstwo?

— Ciało denata osunęło się do tyłu przewracając razem z krzesłem? – ciągnąłem dalej.

— Nie, opadło jakby bokiem na stół i następnie zsunęło się z obrusem i kartami na dywan – wszystko się zgadzało.

— Każdy z panów został opryskany przynajmniej mikroskopijnymi drobinami krwi, proszę oddać ubranie przy wyjściu, musimy je zbadać.

— Na golasa jeszcze nie wracałem do domu.

— Dostanie pan coś do ubrania.

— Rozumiem, że mogę już odejść? – zrobił ruch jakby chciał się podnieść, ale wyraźnie nie docenił, że też potrafię bluffować.

— Nie, nie. Powtórzmy jeszcze raz pewne szczegóły, mówił pan że około trzeciej w nocy minister rozlał kawę na stół i obsługa zmieniła obrus...

Wiedziałem, że go nie zmiękczę. Wiedziałem, że nawet nie spróbuję zaproponować współpracy w kwestii wskazania zabójcy lub zabójców w zamian za wykluczenie z grona oskarżonych. Nie mogłem jednak mu odpuścić odrobiny dyskomfortu, niech chociaż trochę się pomęczy zanim wyjdzie z posterunku, zadzwoni po czarne BMV z kierowcą i

pojedzie do willi ukrytej pomiędzy zielenią, aby oddać się rozkoszom ciała w wytwornych łazienkach, jadalniach i sypialniach.

Pytałem go o kolor obrusu, wzór rewersów kart, wypite drinki, życie rodzinne, ulubiony zespół muzyczny, pierwsze zarobione pieniądze, jakiego słowa najczęściej używał Zbirski, w jaki sposób trzymał karty.

Po dwóch kolejnych godzinach przesłuchania ostatniego ze świadków, nie złapawszy go na niczym, co istotnie odbiegałoby od zeznań jego poprzedników lub byłoby nienaturalne, zakończyłem sesję. Nie miałem już sił ani palić, ani pić kawy, ani gadać, ani myśleć.

— Wszystko wskazuje na samobójstwo... – Pułkownik wszedł do pokoju przesłuchań, ale ja już go nie słyszałem. Zasnąłem na krześle.

Sen miałem niespokojny, czy można zresztą dobrze się wyspać w ubraniu, na pryczy lokalnego aresztu, bo tam tylko zdołali mnie donieść koledzy z ekipy dochodzeniowej. Śnił mi się Zbirski. Widziałem jak na spowolnionym filmie wygrzebuje się z hałdy banknotów, żetonów i kart, aby stanąć na jej szczycie i głośno się śmiejąc wycelować w moim kierunku. Widziałem kulę, która z rozgrzanym do czerwoności mosiężnym płaszczem zmierza w moim kierunku, jak kula zamienia się w twarz Zbirskiego, patrzącego na mnie ze straszliwym wyrzutem. Sen naprawdę miałem niespokojny.

Pojechałem do hotelu, aby umyć się i zjeść śniadanie. Kiedy syty rozsiadłem się na fotelu przed recepcją, aby zapalić pierwszego papierosa, przypomniałem sobie wytworne cygaretki Jarosława Dębskiego.

W myślach odtworzyłem przebieg przesłuchania wszystkich świadków. Na pierwszy ogień poszedł minister, to on wprowadził Zbirskiego do towarzystwa. Poznał Zbirskiego w ministerstwie, zaprzyjaźnili się. Przy jakimś lunchu obaj wyrazili zainteresowanie grą w pokera i doszli do wniosku, że minister spróbuje wprowadzić Zbirskiego do towarzystwa grających. Potem były zeznania następnych, nikt z nich nie znał przedtem Zbirskiego.

Ich zeznania były spójne, uzupełniające się w szczegółach, nie mogło być żadnej wątpliwości jak przebiegało ostatnich sześć godzin Zbirskiego pomiędzy kolejnymi

rozdaniami. Podniosłem się z fotela i poprosiłem recepcjonistę o zawołanie taksówki. Postanowiłem pojechać do sądowego prosektorium.

— Nazwisko i stopień służbowy.

— Marcin Kaszka, starszy inspektor.

— Ma pan dość nową legitymację jak na starszego inspektora – nadgorliwy strażnik denerwował mnie swoją podejrzliwością.

— Proszę zadzwonić do komendanta a pana wątpliwości znikną.

— Nie ma takiej potrzeby, to nie bank, proszę bardzo, jeżeli ma pan starszy inspektor ochotę pooglądać trochę zimnych ciał – nacisnął guzik i mogłem wejść do wyłożonego zielonymi kafelkami korytarza.

W sumie miał całkowitą rację. Legitymacja została wydana kilkanaście godzin wcześniej, Marcin Kaszka istniał dopiero dwadzieścia kilka godzin. Naprawdę moje imię i nazwisko brzmiało całkiem inaczej, nie ważne zresztą jak. W kontrwywiadzie mistyfikacja jest normalną regułą postępowania.

Przeszedłem do końca korytarza, skręciłem w prawo i stanąłem na progu chłodnej sali pełnej przykrytych prześcieradłami ciał. Zbirski leżał pod jednym z nich, wyjąłem z kieszeni kartkę z danym wskazującymi rząd i szereg, wolno odnalazłem właściwe miejsce.

Obejrzałem dokładnie woskowego koloru stopy, nogi, korpus, ręce, głowę. Otwór wlotowy i wylotowy – wszystko z najwyższą rutyną, byle nie myśleć o właścicielu tego ciała, który nie mógł już poruszać członkami, nie mógł myśleć, nie mógł nic powiedzieć o swoich zabójcach, nie mógł już prowadzić życia rodzinnego i poświęcać się pracy w kontrwywiadzie, ponieważ poświęcił się ostatecznie.

Teraz po latach nadal rozmyślam nad tym, jak szajka szpiegowska, w którą udało się nam wniknąć i podczas demaskowania której zginął Zbirski - chociaż powinienem już przestać używać tego wymyślonego dla celów operacyjnych nazwiska - a zatem, w jaki sposób ci

wyrachowani i przebiegli ludzie zdołali nas oszukać, wykryć nasze zamiary, upozorować w doskonały sposób samobójstwo pracownika kontrwywiadu z użyciem służbowej broni, zabrać operacyjne pięćdziesiąt tysięcy jako wygraną w pokera i wiedząc, że są spaleni, rozproszyć się pod innymi nazwiskami.

Nasuwa mi się wiele rozwiązań, ale tylko jedno jest słuszne i dziwię się, że moi współpracownicy na to nie wpadli. Nie zauważyli wielu sztuczności podczas przesłuchania, nie przeniknęli doskonale wyreżyserowanego planu.

To ja byłem wtyczką szajki w kontrwywiadzie i to ja połakomiłem się na zdemaskowanie działań operacyjnych naszej grupy za skromną łapówkę poplamionego krwią mojego podwładnego pół miliona dolarów rządowych pieniędzy.

LAST MINUTE

(1996)

Dziewczyna, może siedemnastoletnia, wprowadziła mnie na taras i przedstawiła dwóm damom w słomkowych kapeluszach.

— To jest moja mama, a to jest moja ciocia – odkłoniłyśmy się sobie. – Napije się pani mrożonej herbaty?

— Bardzo proszę, napiję się mrożonej herbaty – czekałam na zaproszenie do zajęcia miejsca w jednym z wygodnie wyglądających foteli, ale nie padło, więc stałam w miejscu w pozycji królowej angielskiej z rękami złożonymi na podbrzuszu i zaplecioną w palce czarną torebką.

Było niemiłosiernie gorąco, ale taras był w większości zacieniony, więc nie odczuwało się tego tak bardzo. W kącie na prawo od wejścia adapter odgrywał nie za głośno czarną płytę z jakimś bardzo przyjemnie brzmiącym bluesem; na wierzchu leżała okładka płyty, z której spoglądał na mnie roześmiany białymi zębami, czarnoskóry Eddie Vinson. W kącie na lewo od wejścia stały dwa fotele i jednaściana, jak naliczyłam odruchowo, donic z kolorowymi kwiatami, w większości begonii. Przedemną, czyli na wprost od wejścia, siedziały dwie, może pięćdziesięcioletnie panie w letnich sukienkach i tenisówkach. Za nimi ciągnął się piękny ogród, pnący się tarasami pełnymi soczystej trawy, ułożonych misternie gładów i doskonale się prezentujących krzewów pełnych kolorowych kwiatów. Na jego końcu linia drzew owocowych wyraźnie odcinała zieleń od czystego błękitu nieba.

Obserwowały mnie bez słowa. Skonstatowały metr sześćdziesiąt korpulentnej pani około sześćdziesiątki w beżowym kostiumie, czarnych pantoflach na niskim obcasie oraz koronkach wystających z rękawów i dekoltu. Zauważyły, że stoję na baczność, uważnie obserwuję otoczenie, znam swoje miejsce i czekam cierpliwie na ich wyrok.

— Dzień dobry – dama po prawej przerwała w końcu milczenie. – To pani ma zastępować naszą biedną Eleonorę.

— Dzień dobry – spojrzałam prosto w jej duże, niebieskie oczy. – Tak, Eleonora zadzwoniła do mnie, że złamała nogę i poprosiła mnie o zastępstwo.

— Proszę, niech pani usiądzie, o tu – wskazała jeden z dwóch wygodnych foteli po lewej stronie. – Porozmawiamy trochę o pani pracy.

Dziewczyna wniosła mrożoną herbatę i podała mi ją w wysokiej szklance owiniętej w serwetkę.

— Dziękuję, to bardzo miło dostać mrożoną herbatę w upalny dzień od tak dobrze ułożonego dziewczęcia.

— Proszę bardzo – spojrzała na mnie z nie ukrywanym zdziwieniem dla mojego staromodnego stylu prowadzenia konwersacji, ale zauważyłam, że na damach moja wypowiedź zrobiła dobre wrażenie.

I o to chodziło.

— Pani jest zawodową pielęgniarką, jak rozumiem? – Zaczęło się przesłuchanie.

— Tak, emerytowaną zawodową pielęgniarką.

— Skąd pani zna Eleonorę?

— Ze związku zawodowych pielęgniarek.

— Nie pracowały więc panie razem?

— Nie, nie pracowałyśmy razem. Eleonora pracowała w szpitalu psychiatrycznym, ja zaś zajmowałam się sparaliżowanymi pacjentami w szpitalu miejskim.

Damy spojrzały na siebie, a ta która prowadziła przesłuchanie wyciągnęła z papierošnicy długiego cienkiego papierosa, ale nie zapalała go.

— Normalnie nie przyjęłybyśmy nieznajomej osoby do opieki nad Tomaszem, moim mężem znaczy się, ale w tym wypadku nie mamy wyjścia. Eleonora zresztą zapewniła nas,

że pani zastąpi ją w sposób doskonały, a w przypadku mojego męża musimy mu zapewnić maksymalnie dobrą opiekę.

Uniosłam lekko brwi i przechyliłam głowę lekko w jej stronę na znak zaciekawienia, jak nakazuje przyzwoitość, chociaż nie interesowała mnie zbytnio jej rzewna opowieść, którą właśnie rozpoczynała.

— Biedny Tomasz, znaczy mój mąż – kontynuowała – zachorował cztery miesiące temu. Był dyrektorem banku, opiekował się nami, ale ta choroba powaliła go zupełnie, zupełnie proszę pani.

Tu łza zakręciła się w jej oku i zmusiła do wyciągnięcia chusteczki z rękawa sukienki.

— Pani nie pracowała w szpitalu psychiatrycznym, ale zapewne słyszała pani o schizofrenii katatonicznej? – zadała pytanie i nie czekając na moją reakcję zaczęła wyjaśniać.

— Katatonik to człowiek zupełnie jakby sparaliżowany, chociaż tak naprawdę nie jest sparaliżowany. Po prostu jego reakcje na bodźce są tak powolne, życie psychiczne tak leniwe, że mijają godziny a nawet dni zanim wykona jakiś ruch. Przeważnie siedzi lub stoi w jednej pozycji godzinami, wpatrzony gdzieś, w coś co zauważył długo przedtem, a czego już tam dawno nie ma.

— Eleonora mi opowiadała kiedyś o ludziach roślinach – przerwałam grzecznie wypełniając ciszę, która przez moment zapadła.

— Właśnie taką roślinę mamy w domu w postaci mojego męża – zrobiła dramatyczny gest ręką. – Jak go posadzimy w fotelu to siedzi tak dopóty, dopóki mu się nie zmieni za jakiś czas. Wtedy wstanie, znowu postoi dwie godziny, podejdzie do okna. Och! Trudno powiedzieć podejdzie, raczej zrobi przez godzinę kilka kroków, aż znajdzie się przy oknie. A najgorsze to jest karmienie go, gorsze nawet niż mycie i przebieranie.

— Chociaż – w końcu przyznała – nawet tak naprawdę nie wiem jak to się odbywa. Eleonora się nim zajmowała, ja jakoś nie mogę, zbyt wrażliwa jestem...

Znowu łza w oku.

— Ale do rzeczy – wyprostowała się. – Kasiu! Córeczko, przywieź tatusia.

Minęło kilka minut i przez drzwi wjechał na wózku pan Tomasz. Dziewczyna podjechała nim na prawo i ustawiła go dokładnie naprzeciw mnie tak, że jego nieruchomy wzrok wwiercał się w ścianę dokładnie pół metra nad moją głową.

— To jest właśnie mój mąż. Przez dwa tygodnie będzie pani się nim zajmowała – a więc zdałam egzamin. – My w tym czasie wyjeżdżamy na wczasy, rozumie pani, musimy odpocząć. Taką okazję mamy i możemy pojechać za pół ceny na Wyspy Kanaryjskie, wie pani, z banku mojego męża dla pracowników i rodzin taka promocja.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

— Ja. Kasia i szwagierka, tu obecna zresztą – dama po lewej skłoniła się w moim kierunku. – Mamy samolot za dwie godziny. Niewiele to czasu, jak sama pani rozumie, więc przystąpmy do rzeczy. My idziemy kończyć pakowanie, zaś Kasia oprowadzi panią i pokaże gdzie co jest.

Powstałyśmy równocześnie.

— Zatem do pracy – pani domu się wyprostowała i prężnym krokiem zmierzyła do wyjścia z tarasu a ja z Kasią rozpoczęłam wdrażanie do obowiązków.

Stałam jeszcze przez chwilę w oknie salonu i odprowadzałam wzrokiem taksówkę pełną podnieconych wyprawą kobiet. Za nimi odjechała druga taksówka z walizkami i tobołkami.

Powoli poprawiłam zasłonę i wygładziłam firankę. W tym dużym domu nie było służby, ale wszystko było wysprzątane na wysoki połysk. To Eleonora, oprócz opieki nad panem dyrektorem, wzięła na siebie ten ciężki obowiązek sprzątania i gotowania. Kiedyś była gosposia, ale dyrektor zaniemógł i przychody się nieco skurczyły. Eleonora jednak złamała nogę i ja miałam ją zastąpić.

Zrobiłam sobie w angielskiej filiżance mocnej i bardzo słodkiej kawy i weszłam na taras. Przez moment zastanawiałam się gdzie usiąść, ale wybrałam w końcu stare miejsce na wygodnym fotelu pomiędzy donicami z begoniami. Naprzeciw siedział pan Tomasz, ale nie patrzył już pół metra nad moją głową, lecz prosto w moje oczy.

— Pojechały już? – Wzdrygnęłam się odruchowo, chociaż Eleonora mnie wyraźnie ostrzegła przed takim rozwojem wypadków i o mało nie upuściłam filiżanki.

— Pojechały. – Odpowiedziałam najmocniejszym, na jaki mnie było stać głosem.

Dyrektor zrzucił koc, wstał z inwalidzkiego wózka, przeciągnął się i wykonał kilka skłonów.

— Ile dostałaś, znaczy ile pani zapłaciły?

— Tysiąc.

— Dobrze to ja dorzucam jeszcze dwa – sięgnął do tylnej kieszeni spodni. – Jak rozumiem zobaczymy się dokładnie za dwa tygodnie?

— Dziękuję, jest pan bardzo hojny.

— Pani zaś bardzo rozsądna i bardzo dyskretna, jak rozumiem nie piśnie pani nigdy ani słówka, co zobaczyła pani w tym domu.

— Może pan liczyć na moją dyskrecję.

Odetchnął z wyraźnym zadowoleniem.

— Za trzy godziny mam samolot, lecę na safari, myślę, że powinniśmy się już pożegnać, bo muszę się jeszcze spakować, chociaż Eleonora część rzeczy mi przygotowała.

— Tak, oczywiście. Do widzenia panu. – Wstałam z fotela trzymając filiżankę w dłoniach.

— Posprzątam, proszę się nie kłopotać z odnoszeniem jej do kuchni. – Odebrał ją ode mnie i wręczył mi banknoty. - Do widzenia pani.

Wyszłam przed dom i wsiadłam do zamówionej taksówki.

— Dokąd szanowna pani jedziemy – taksówkarz wyrwał mnie z zamyślenia.

— Nie wiem na dobrą sprawę – mężczyzna uniósł w zdziwieniu brwi i obrócił się do mnie. – Albo już wiem!

— No to dokąd?

— Wie pan co, pojedźmy do najbliższego biura podróży. Słyszałam, że są takie wycieczki „last minute”. Może pomoże mi pan coś takiego znaleźć? – Uśmiechnęłam się do niego najserdeczniej jak potrafiłam.

Popatrzył na mnie zdziwiony, ale oceniwszy widocznie pozytywnie moje siły witalne i stan umysłowy, odwrócił się w kierunku jazdy i przekręcił kluczyk.

— Jak sobie pani życzy, jak sobie życzy, może być „last minute”, w końcu trzeba korzystać z życia – mrugnął do mnie okiem w lusterku i przycisnął może trochę za mocno pedał gazu.

W miły sposób wcisnęło mnie w miękką kanapę mercedesa.

DŁUGI KORYTARZ

(2006)

Tomek żadnym sposobem nie mógł przekręcić klucza i otworzyć drzwi do swojego mieszkania. Klucz tkwił w zamku tak uparcie, jak drzazga, której nie można wyciągnąć z palca. Jak długi, karbowany gwóźdź, wbity w dębową deskę dla oznaczenia miejsca, w którym należy wywiercić otwór, ale który został wbity zbyt mocno i teraz nie można go wyciągnąć gołymi palcami.

Czuł jak opuszek jego kciuka i środkowa część palca wskazującego rozgrzały się, zaczęły puchnąć i lekko przypiekać. Na jego czoło wstąpiły krople potu. Począł miotać ciche przekleństwa, cichsze niż jego chrapliwy przyspieszony oddech, przypominający ten, który wydaje bardzo zmęczony człowiek nad talerzem zupy. Sapał.

— Boże, otwórz w końcu te drzwi, bo siatki wrzynają mi się w ręce. – Gosia stała za nim, czując jak mdleją jej ramiona i zaczynają drżeć nogi.

— To postaw je na ziemi. – Zdał sobie nagle sprawę, że to samo powinien uczynić z torbą utrzymaną w lewej ręce.

— Nie możesz po prostu otworzyć drzwi? – Jej głos pobrzmiwał coraz większym zniecierpliwieniem.

— Nie mogę! Daj mi się skupić, do... – zmiął kolejne przekleństwo pomiędzy językiem i wargami.

Poczuł w piersiach nieznośny ucisk, jakby były owinięte wieloma warstwami bandaży elastycznego. Jakby pomiędzy jego zwojami a mostkiem ktoś szczególnie złośliwy umieścił dodatkowo dwa lub trzy kamienie wielkości sześcianów do gry w kości.

Szczególnie nieprzyjemne kamienie. Odłożył trzymaną torbę na ziemię i usiadł na schodach. Nie chciał się poddać, ale musiał chwilę pozbierać myśli i odetchnąć.

— Przecież to nie jest twój klucz? – Gosia spróbowała w tym czasie sama uporać się z zamkiem.

— Jak to nie mój – poderwał się ze schodów. – Pokaż.

Faktycznie. Klucz i breloczek były bardzo podobne, ale nie takie same jak jego. Granatowy, skórzany breloczek różnił się nieznacznie natłoczonym wzorem i stopniem zniszczenia. Był najwyraźniej nowy. Zaczął macać się po kieszeniach i w przeciągu kilku sekund znalazł właściwy. Z pewną trudnością wyciągnął z zamka zły klucz i włożył ten z kieszeni spodni. Przekręcił go z łatwością i drzwi stanęły przed nimi otworem. Przystąpił próg i zapalił światło. Znowu w domu. Znowu u siebie. Znowu wszystko wróciło do normy. Nie wszystko jednak. Już nigdy nic nie miało być tak samo.

Wpatrywał się w czerwone tulipany z zielonymi łodygami. Opinały ciało Gosi niby łąka pagórki. Krzątała się po kuchni i co chwilę mógł podziwiać nowy fragment kwietnika spomiędzy którego co rusz wyłaniały się łachy piaszczystych wydm i lagun. Piersi, stopy i dłonie.

— Teraz mi wyjaśnij, proszę.

— Co, co...?

— No nie słyszysz co do Ciebie mówię? – Gosia nie była bynajmniej w najlepszym nastroju, tym bardziej, że od kilku minut usiłowała zadać Tomkowi pytanie, którego ten najwyraźniej nie słyszał. To ją zawsze doprowadzało do szału.

— Wyjaśnij mi skąd w Twojej kieszeni znalazł się klucz nie od naszego mieszkania na łudząco podobnym breloczku – stanęła nad nim z patelnią pełną parującej jajecznicy i spokojnym uśmiechem, za którym czaiła się..., tylko kobiety wiedzą co. Tomek nawet nie usiłował odgadywać tego czegoś, co kryje się za spokojnymi pytaniami kobiet. Czegoś w rodzaju bezwietrznej burzy, suchego deszczu.

Patrzył na nią usiłując dotrzeć do sensu jej pytania. Powoli przestawał myśleć o tulipanach i zaczynał sylabizować w myślach jej pytanie: skąd-klucz-w-two-jej-kie-sze-ni, skąd-klucz-w-twojej-kie-sze-ni. Po chwili zrozumiał jego sens.

— Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia – zrobił najbardziej niewinną minę, na jaką było go stać.

— Idę do pracy, a po pracy jadę na zakupy. Lepiej sobie przypomnij zanim wrócę. Nawet sobie nie wyobrażasz co zrobię, tobie i tej, do której mieszkania ten klucz pasuje. I nie rób takich wielkich, naiwnych, zdziwionych oczu. Nie działa to na mnie.

Teraz dotarł do niego sens jej słów. Zaczął myśleć: klucz, klucz...

Wczoraj, zanim pojechali do supermarketu po zakupy przebierał się. To wie na pewno. Kieszenie musiał mieć puste. Pedantycznie przestrzegał tego zwyczaju, sam nie wie skąd się u niego wziął, wyjmowania wszystkiego z kieszeni i zdejmowania z siebie po przyjsciu do domu i wkładania znowu przed wyjściem: portfela, zegarka, pióra, obrączki, papierosów, kluczy. Właśnie, papierosy. Poszedł do przedpokoju i odszukał napoczętą paczkę w koszyku ze szpargałami. Zanim Gosia wróci wywietrzeje – pomyślał i zrobił sobie rzadką przyjemność zapalenia w domu.

Skąd ten przeklęty klucz? Starał się przypomnieć sobie każdą sekundę. Robili zakupy kłócąc się jak zwykle o wielkość porcji wędlin i serów oraz ich gatunki. On, wiecznie głodny, a w szczególności podczas zakupów, jadł wszystko oczami usiłując włożyć do koszyka nadmierne ilości produktów, które gdyby nie zapobiegliwość wyciągającej je z koszyka Gosi, stałyby się do kolejnych zakupów obślizgłymi lub stwardniałymi, nieapetycznymi, studzącymi największy głód kawałkami nabiałów i przetworów mięsnych zalegających i psujących się w lodówce. Najczęściej nie nadawały się już do niczego innego, jak do wyrzucenia lub obsmażenia, jako podkład do jajecznicy.

Po zakupach wsiedli w samochód i przyjechali do domu. To wszystko. W taki sposób nie dojdzie do rozwiązania zagadki. Musi spróbować inaczej. Ale jak? Nagle się poderwał. Tak! Musi znaleźć po prostu drzwi, do których ten klucz pasuje. W ten sposób wszystko się wyjaśni. Zgasił papierosa i zaczął się przyglądać przedmiotowi jego utrapienia. Ten

klucz był najwyraźniej dorobiony. W zakładzie „KOPA”. „Zakład ślusarski KOPA” – odczytał podpis, wygrawerowany drobnymi literami na uchwycie klucza.

Tomek wciągnął spodnie, w biegu chwycił za wiatrówkę i przekroczył próg domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wyszedł na korytarz. Zatrzymał się na chwilę. Pomyślał, że to jest korytarz nie wiadomo jak długi, ale z dużym prawdopodobieństwem prowadzący do rozwiązania zagadki. Zagadki klucza. Zagadki zamka, do którego klucz pasował. Zagadki drzwi, które klucz otwierał. Zagadki właściciela, do którego dostępu owe drzwi broniły. Tomek zechciał tego właściciela poznać. Dotknął dłonią wierzchu kieszeni, pod której materiałem odciskał się klucz i wyszedł na światło. Był naprawdę słoneczny dzień, aczkolwiek na niewidocznym pomiędzy blokami horyzoncie zaczęły się piętrzyć burzowe chmury.

— Chciałbym oddać ten klucz właścicielowi. – Tomek wyciągnął dłoń w kierunku rzemieślnika.

— No... – ślusarz spojrział na niego nie wiadomo, czy pytająco, czy twierdząco, czy nijak. Raczej nijak.

— No, chciałbym oddać.

— No, ale co.

— To pan robił ten klucz?

— No... – Ślusarz rzucił okiem na klucz. – Robiłem.

— No właśnie. – Tomek się ożywił – No to niech pan mi powie dla kogo, dobrze?

— A ja wiem, czy to z was nie jaki złodziej?

— A czy ja wyglądam na złodzieja? – Tomek spojrział na siebie, próbując zrozumieć, co takiego może budzić w ślusarzu nieufność.— W dzisiejszych czasach to tam nic nie wiadomo. Wie pan. Porządnie nawet wyglądają, a później. Wie pan. Zedrą buty z pana, jak pan dobrze ich nie zawiąże. No, zasznurowe. Moja sąsiadka, szła, wie pan, sześćdziesiąt lat ma, ale dobrze się trzyma. Wie pan, no, zadbana, dba o siebie. Szła sobie z koleżanką i na

ławce trzech siedziało, no takich fajnych, eleganckich, no kwiat młodzieży po prostu. Ani się obejrzała, jak jej wyrwali. Wszystko: pieniądze, dokumenty, klucze. Za darmo jej usługę wymiany zamków robiłem tak, żeby pomóc kobiecie w tym, no nieszczęściu. Skur... jak bym dorwał...

— Ale odda pan Kwiatkowskiej. Ona nie dla siebie no, dorabiała ten klucz. Pan jej odda, ona już będzie wiedziała. Pod dziesiątką.

— Dziękuję. Dziękuję... – Tomek wyszedł na zewnątrz.

Zawiało mu piaskiem w oczy. Nie zdążył porządnie zmrużyć. Parsknął. Przetarł twarz przesuwając złączone palce od brwi po kąciki oczu. Zaklął.

Był na pół piętrze, kiedy Kwiatkowska wyszła z mieszkania, zamknęła drzwi i ruszyła w jego kierunku. Jak gdyby nigdy nic poszedł w górę po schodach. Po chwili przystanął, odwrócił się i począł schodzić w przeciwnym kierunku. Trzasnęły drzwi od klatki i przyspieszył kroku.

Śledził ją, gdy poszła na przystanek, czekała na tramwaj i wsiadła do pierwszego wagonu. Wskoczył na tylni pomost w ostatnim momencie. Nie było łatwo zauważyć niskiej Kwiatkowskiej w tłumku wsiadających i wysiadających, co powodowało jego dezorientację na kolejnych przystankach. W końcu dostrzegł jej upięte w koczek nijakiego koloru włosy podskakujące w kierunku niskich ogrodzeń przejściówki rozdzielającej tory.

Dwie godziny z minutami czekał, aż skończy sprzątać mieszkanie w starym bloku, pamiętającym czasy stalinowskiego budownictwa. Przesiedział na półpiętrze powyżej pierwszego piętra, obserwując zdawkowo gałęzie, ptactwo i chmury. Głównie gałęzie. Zastanawiał się nad ich chaotycznym rośnięciem. Powolnym zdobywaniem nowych przestrzeni. Niegdyś regularnie pustych, a teraz wypełniających się majestatycznymi konarami i miotanymi przez poddmuchy wiatru witkami. W końcu usłyszał szczęknięcie zamka i trzask. Pani Kwiatkowska zamknęła mieszkanie i poczęła schodzić po schodach.

Mężczyzna poczekał, aż trzaśnie wejściówka do klatki i zbliżył się do drzwi mieszkania. Rozglądając się dookoła sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje i włożył klucz w zamek.

Wypadł na podwórze chcąc zdążyć jeszcze wyśledzić, gdzie poszła Kwiatkowska. Miał nadzieję, że do następnych drzwi. Z obawy, że zgubi trop trzasnął drzwiami do klatki tak mocno, że plotkujące nieopodal kobiety obejrzały się na niego. Poszedł ku wyjściu z podwórka, gdy spostrzegł się, że jedną z nich jest Kwiatkowska. Przystanął za winklem. Musiał dalej ją śledzić. Klucz do tego zamka nie pasował.

Kobieta po kilku minutach opuściła towarzystwo kumoszek i poszła znowu w kierunku przystanku. Pojechali dalej. Znowu odczekał swoje na klatce. Ponownie włożył klucz w zamek po jej wyjściu. Tym razem skuteczniej, bo klucz się przekręcił.

Trójpokojowe, zadbane mieszkanie osoby żyjącej samotnie lub w wolnym związku. Żadnych śladów obecności dzieci. Duży, zielony, skórzany fotel na środku pokoju zachęcał, żeby w nim spocząć. Wpatrzył się w akt namalowany na dużym płótnie i odpoczywał czekając na gospodarza. Akt przedstawiał kobietę bez twarzy pochyloną w kucki nad pustym taboretom. Przeniósł wzrok na inne obrazy. Akty tej samej kobiety bez twarzy w różnych pozach. Ciepłe słoneczne promienie muskały go miło po twarzy tak, że chcąc nie chcąc zapadł w płytkie marzenie senne.

— Słuchaj, wczoraj zgubiłem komplet kluczy. Nie widziałaś gdzie go? –
Mężczyzna w nonszalancko zarzuconym na szyję, brudnoróżowym, jedwabnym szaliku włożył klucz do zamka. – Dorobiłem komplet dla Ciebie i zapodziałem go.

— Naprawdę? Nie... – z twarzy kobiety zniknął uśmiech i zawitał narastający niepokój. – A..., jak wyglądał? Czy miał breloczek?

— Tak, granatowy, skórzany, a co?

— A nie zostawiłeś go przypadkiem w moim samochodzie??! – Kobieta sprawiała wrażenie silnie zaniepokojonej.

W tym momencie weszli do mieszkania.

Tomek ocknął się i poderwał z zielonego fotela, stał na przeciwko osłupiałej Gosi i nie mniej zdziwionego mężczyzny w brudnoróżowym szaliku. Doszedł do końca korytarza, znalazł właściwe drzwi, ale jak bez klucza znalazła je Gosia?

Nagle rozpoznał kształt bioder, piersi, włosów i ramion żony na aktach zawieszonych na ścianach wokół niego. Poczł zawrót w głowie i usiadł z powrotem w fotelu z półotwartymi ustami i oczami, w których pojawiła się wilgoć. Ścisnęło go w gardle. Z jego zdrętwiałych palców na podłogę obsunął się klucz z granatowym, skórzanym breloczkiem.

— Tomek... – Jego imię wypłynęło ze ściśniętych ust kobiety i głucho wypełniło przestrzeń pokoju niby konar drzewa. Uschnięty konar.

Za oknem odezwały się pierwsze pomruki burzy, na którą zanosilo się cały dzień.

KOLACJE

(2009)

Mateusz i Kamila stanowili dobraną parę w pełni sił życiowych. Oboje przekroczyli trzydziestkę już jakiś czas temu, zadbani, u szczytu kariery zawodowej, wszystkie zarobione pieniądze inwestowali w siebie. O dzieciach jeszcze nie myśleli, a może już nie, ponieważ obecne życie wydawało im się nadzwyczaj wygodne, a obserwacja znajomych zmagających się z wychowywaniem dzieci stanowczo ich odstraszała i odciągała od poważnego myślenia o potomstwie. Otaczali się gustownymi przedmiotami, nosili markowe ubrania, jedli zdrowo, używali najlepszych kosmetyków.

On, pod sam koniec inżynierskich studiów na dobrej uczelni, tuż po powrocie z zagranicznego stypendium, znalazł pracę i rozpoczął karierę w znanej firmie telekomunikacyjnej, aby po kilku latach osiąść na kierowniczym stanowisku. Zarządzał ważnym dla firmy zespołem analityków. Po dziesięciu latach był już znudzony brakiem nowych wyzwań, ale stanowczo odrzucał możliwość porzucenia intratnej posady i stabilnej pozycji.

Ona ukończyła genetykę i marzyła o pracy w laboratorium, ale los zechciał inaczej, gdy koleżanka skusiła ją służbowym samochodem, wciągnęła do pracy przedstawiciela handlowego. Ostatecznie została kierownikiem produktu w jednej z firm produkujących kosmetyki. Praca prestiżowa, wymagająca męskiego podejścia do zadań i do podwładnych, w stopniu wystarczającym spalała nadmiar testosteronu, produkowanego przez jej organizm.

Pachnący, ubrani lekko, stosownie do letniej pory roku, trzymając w ręku butelkę ulubionego Chablis, stanęli na wprost kutej furtki okolonej krzewem kwitnących, krwistoczerwonych róż i nacisnęli dzwonek. Charakterystyczne brzęczenie automatycznego zamka zachęciło mężczyznę do pchnięcia bramki, która otworzyła przed nimi wąską ścieżkę prowadzącą do masywnych drzwi z pełnego drewna. Dom starannie wykończony

ciemnym klinkierem, duże okna w białej oprawie, bujna, ale zadbana roślinność upewniły ich, że nie przestrelili z wyborem partnerów do wspólnej zabawy. Najbardziej w takich wyborach obawiali się trafienia na zbyt niski status materialny pary, z którą decydowali się na wspólną kolację, która nie musiała, ale mogła przerodzić się w erotyczną grę, której finałem była wymiana partnerów i wspólne uprawianie seksu w różnych konfiguracjach. Modzie na tego rodzaju spotkania poddali się z wyrafinowaniem, jak tylko odkryli, że spowszednienie seksu w zaciszu ich domowej sypialni sprowokowało każde z nich do skoków na bok. Wywołany tym kryzys, oraz gorzkie, wzajemne wyznania i seria poważnych rozmów upewniła ich, że się kochają i chcą dalej ze sobą żyć, ale także, że chcą szukać nowych wrażeń seksualnych. Postanowili zatem szukać ich razem, przynajmniej spróbować, dlatego weszli na internetowy czat poświęcony seksowi i z zaciekawieniem zaczęli prowadzić rozmowy na tematy erotyczne.

Przyjmowali prywatne rozmowy jedynie od par, odrzucali zaczepki wulgarne lub zbyt pospolite, zmierzające bez wyrafinowania do finału. Dopiero jeśli ktoś potrafił prowadzić z nimi co najmniej godzinną, interesującą rozmowę, wymieniali zdjęcia i po dalszej rozmowie decydowali się na przyjęcie zaproszenia. Nigdy nie zapraszali do siebie. Nie to, że obawiali się jakiegoś zagrożenia, po prostu mieli zasadę, że z każdą z par spotykają się tylko raz, aby nie dopuścić do zadzierzgnięcia głębszej przyjaźni, czy powstania namiastki jakichkolwiek uczuć. Nie odwzajemniali zatem zaproszenia i po pierwszej wizycie nie podtrzymywali kontaktu. Ta wizyta była ich piątą w ciągu ostatnich kilku miesięcy, odkąd rozpoczęli zbieranie tego typu doświadczeń, więc uważali się niejako za weteranów, zaprawionych w wypracowanym przez siebie sposobie działania.

Nie chcieli nazywać samych siebie modnym słowem „swingersi”, wydawało im się to zbyt pospolite, dlatego określali się bardziej jako para szukająca doświadczeń. Kreowali się na intelektualistów, którymi zresztą byli, poszukującymi seksu na podobieństwo mistycznego doznania. Dlatego zaczepka pary o nicku „Para_kolacja_i”, do której dzisiaj zawitali wciągnęła ich od pierwszego momentu.

– „Cze! Lubicie wykwintne potrawy równie mocno jak seks?” – to niewinne zapytanie zaintrygowało ich na tyle, że odrzucili inne rozmowy prywatne i skupili się na tej jednej. Odpowiedzieli bez wahania.

– „Cze! jedno i drugie może prowadzić do rozkoszy. Zależy od kucharza.”

– „Trafilście na najlepszych kucharzy. Pytanie, czy macie na tyle wyrafinowany smak by to docenić?” – prowokowali po drugiej stronie.

– „Pytanie czy potraficie nas zaskoczyć. Jedliśmy już niemal wszystko.” – podjęli wyzwanie z lekkim podnieceniem.

– „I tutaj się mylicie. Nie wszystko, ale nawet nie zgadujcie, nie powiemy wam, zanim nie spróbujecie. Gotujemy jednak tylko dla ludzi w zbliżonym wieku, napiszcie więcej o sobie”.

Dalej rozmowa potoczyła się standardowo. Wymiana informacji na temat wymiarów, wyglądu, zawodów, statusu rodzinnego, zainteresowań, propozycja wysyłki zdjęć dopełniła całości. Pewnym zaskoczeniem było jedynie to, że „Para_kolacja_i” nie chciała podać adresu, ani ustalić daty spotkania ani na czacie, ani mailem. Uparli się, że podadzą przez telefon, dlatego wymienili się numerami i szczegóły spotkania dograli w rozmowie. Wzbudziło to w analitycznym umyśle Mateusza lekki niepokój, który spotęgował się gdy stanął twarzą w twarz z gospodarzem spotkania. Lekko wijące się kruczoczarne włosy i brązowe oczy szczupłego mężczyzny słusznego wzrostu, który otworzył mu drzwi nie miały nic wspólnego z zielonookim szatynem ze zdjęcia przesłanego przez internet.

– Dobry wieczór. Czy na pewno dobrze trafiliśmy? Krystyna i Piotr? – Mateusz nie krył zdziwienia, unosząc brwi niemal do linii prosto ściętych nad czołem włosów. Był blondynem o jasnej cerze, niebieskich oczach i gęstych, krótko przystrzyżonych włosach. Mocno zarysowana szczęka zagrała pod jego gładko wygoloną skórą.

– Dobrze, dobrze trafiliście. Cześć. Wyglądamy inaczej niż na zdjęciu, przyznaję. To dla bezpieczeństwa, potem ci wyjaśnię. Wchodźcie, proszę. – Piotr uśmiechnął się zachęcająco i cofnął się o krok do tyłu, szerokim gestem zapraszając przybyłą parę do wejścia.

Mateusz był nieco zły i zdezorientowany, Piotr jednak robił dobre wrażenie i miał miłą powierzchowność, więc po lekkim wahaniu spojrzał przyzwalająco w kierunku Kamili i przepuścił ją w progę.

Dom był zadbane wręcz pedantycznie. Nowoczesny wystrój, ascetycznie dobrane dodatki, jasne kolory sprawiały wrażenie, że jego gospodarze traktują go jako miejsce przejściowe. Brak jakichkolwiek pamiątek rodzinnych pogłębiał to odczucie. Chłodno i nowomodnie. Nie

podobało im się tutaj tak bardzo jak na zewnątrz. Goście spojrzeli na siebie znacząco dając sobie lekki sygnał do odwrotu.

– Cześć. Miło mi poznać. Długo tu mieszkacie? – Mateusz ożywił się na widok wychodzącej mu naprzeciw drobnej i szczupłej, atrakcyjnej brunetki o bardzo ładnej twarzy i pozbawionych stanika piersiach kusząco wypychających t-shirt. W ciągu jednej chwili postanowił podjąć próbę oswojenia się z gospodarzami.

– Cześć. To wynajęty dom. Przepraszam za zamieszanie ze zdjęciem. Mam nadzieję, że w naturze wydamy wam się jeszcze bardziej pociągający niż na zdjęciach. – Brunetka spojrzała mu prosto w źrenice, a on nie mógł powstrzymać reakcji w postaci uśmiechu rozpełzającego po twarzy począwszy od ust, po kącki mimowolnie zmrużonych oczu.

– To zależy od przystawek i wystroju talerza. – Kamila poczuła lekkie ukłucie zazdrości, więc zgrabnie nawiązując do kulinarnej otoczki spotkania dała Krystynie znać, że doskonale widzi jej starannie wypracowany, niewidoczny na pierwszy rzut oka, głęboki makijaż kryjący nie do końca doskonałą cerę. Znacząco zatrzymała też przelotne spojrzenie na żelowych, średniej, a przez to kuszącej i eleganckiej zarazem długości, pociągająco krwistoczerwonych, lecz lekko już popękanych, wymagających interwencji manikiurzystki paznokciach i dodała – garnie musi być świeże, aby zachęcało do zjedzenia głównego dania.

Było już jednak za późno. Mateusz nie zwracał uwagi już na nic i rozpoczął adorowanie gospodyni wciągając powietrze i wypinając pierś pod lekką, przewiewną w kroju, hawajską, choć nie tak kolorową, rozpiętą pod szyją na dwa guziki koszulą. Zabawa została rozpoczęta i na lekkie skinienie, strzelającej długimi, cienkimi palcami Krystyny, podążył do kuchni, aby pomóc w noszeniu sałatek na stół w salonie. Kamila przez chwilę patrzyła za odchodzącym mężem, po czym z impetem odwróciła się na pięcie po to, aby wpaść prosto w ramiona Piotra, który stając tuż za nią z rozbawieniem obserwował całą scenę. Złapał ją delikatnie za ramiona.

– Mamy niegrzecznych małżonków. Myślę, że dobrze zrobimy odpłacając im pięknym za nadobne. Pewnie nie masz na to w tej chwili ochoty, lecz mimo to zaproponuję ci, że zapoznam cię z moją kolekcją samurajskich mieczy, co ty na to? – puścił jej ramiona i uczynił mały krok do tyłu, aby dać jej wolność wyboru.

– Może i mam ochotę, ale czy są prawdziwe? Słyszałam, że oryginalne miecze to bardzo drogi i trudny do zdobycia rarytas? Przecież nie wolno ich wywozić z Japonii. – Kamila nie zamierzała ułatwiać mu zadania obłąskawienia jej.

– I tutaj mam dla ciebie niespodziankę. – Chyba jednak mu ułatwiła. – Mam taki jeden miecz. Kosztował tyle, co samochód wyższej klasy i pokazuję go tylko specjalnym gościom. – uśmiechnął się triumfująco.

– I tutaj mnie zaskoczyłeś. No to pokaż mi tę katanę, umieram z niecierpliwości. – postanowiła zmienić taktykę i odwzajemniła zalotnie uśmiech. Poza tym bardzo jej zależało na tym, aby zobaczyć ten miecz, jeśli faktycznie był oryginalnym wyrobem. Nie chciała mu się na razie przyznać do tego, że w liceum uprawiała szermierkę, aby podczas studiów przerzucić się na japońską sztukę walki mieczem kendo. Przez jakiś czas trenowała jeszcze sztukę walki aikido, ale po kilkunastu miesiącach stwierdziła, że walczyć woli jednak trzymać w dłoni kawał kija. W sumie wiele lat stykania się z białą bronią sprawiło, że nie mogła oprzeć się pokusie zobaczenia czegoś, co było dla niej przedmiotem kultu.

Sypialnia wyposażona była typowo. Łoże małżeńskie, dwa stoliki nocne z lampkami, wyjście na balkon, szafa i komoda. Na komodzie przyciągał uwagę inkrustowany masą perłową stojak z czarnego, egzotycznego drewna na którym ułożone były pochwy z trzema mieczami, począwszy od najkrótszego szyletu *tanto*, służącego do popełniania nakazanego przez samurajski kodeks rozcięcie brzucha, w przypadku, gdyby wojownik nie wykonał przyjętego na siebie zadania; poprzez dwa razy dłuższy miecz średni *wakizachi* i kończąc na niemal metrowej *katanie*. Piotr podjął ze stojaka najdłuższą katanę, wysunął lekko ostrze, wypychając je za *tsubę* kciukiem lewej ręki i wprawnym ruchem prawej wyciągnął do końca i uniósł do góry. Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami.

– Gdy się kochasz, to wolisz patrzeć czy nie? – wyszeptał cicho.

– Wolę patrzeć... – mimowolnie poddała się temu szeptowi i tylko gdzieś głęboko w podświadomości odczuwając niedookreślony niepokój wypływający z wiedzy, że wyciągnięcie miecza przez jego właściciela jest jak rzucenie rękawicy.

– To patrz... – przeniósł wzrok z miecza na nią, by po chwili szybkim ruchem uderzyć nim w powietrze tuż przy jej szyi. W krtani Kamili zamarł okrzyk przerażenia. Szeroko

otwartymi oczami wpatrywała się w powietrze, a jej umysł powtarzał puszczonego w zwolnionym tempie film, w którym Piotr cofa się krok do tyłu, lekko unosi zgięte w łokciach ręce tak, że zdobiona misternym rysunkiem ziejącego ogniem smoka klinga dotyka niemal sufitu, a następnie szybkim ruchem opuszcza ją pod lekkim kątem w dół.

– A to zostawię sobie na pamiątkę. Mogę? – jego głos wyrwał ją z osłupienia i przeniosła wzrok z nikąd na jego zadbane palce, w których trzymał podniesiony z ziemi spory kosmyk jej rudych włosów.

– Pozbawiłeś mnie włosów bez pozwolenia, a teraz łaskawie pytasz mnie o zgodę? – Żyła, pomimo jawnego zamachu na jej cielesną integralność, więc postanowiła stawić czoło jego próbom zdominowania jej.

Pomyślała, że Piotr jest męski, posiada bardzo drogi i piękny samurajski miecz, co jest bardzo rzadkie, potrafi się nim posługiwać, co jest jeszcze radsze, ale nie zdominuje jej. Nie ją, a przynajmniej nie tak łatwo, skoro do tej pory nikomu się to nie udało.

– Daj mi go do ręki, nie, nie kosmyk moich włosów, miecz. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Skaleczysz się, jest bardzo ostry, nie wolno dotykać ostrza pod żadnym pozorem, popatrz.

Piotr jednym szarpnięciem wyrwał tytułową stronę z leżącej na parapecie książki w ciemnych, twardych okładkach, odwrócił miecz ostrzem do góry i delikatnie pociągnął po nim kartką. W ciągu chwili papier został przecięty i na podłogę spłynął skrawek zawierający tytuł książki. Kamila spojrzała w dół i przeczytała: „Etyka utylitarystyczna”.

– Jeden z moich kochanków czytał takie książki. – Odzyskała całkowitą pewność siebie. – skończył jak inni.

– Czyli? – Piotr się wyraźnie zainteresował.

– Najpierw miałeś mi dać do ręki swój miecz.

– Dobrze. Odwróć się. – Stał za nią niczym nauczyciel gry w tenisa za uczennicą, ułożył jej dłoń i wsunął w nie rękojeść. – Takim ruchem podnosisz go do góry, a takim uderzasz. W ten sposób właśnie pozostawiasz przeciwnika z minimalnymi szansami na obronę i rozcinasz

go od barku, poprzez serce po trzewia. To dużo ciekawsze niż odcięcie głowy, bo możesz jeszcze przez chwilę patrzeć w jego zdziwione oczy.

Miała ochotę wykonać ruch biodrem, który sprawiłby, że stojący za nią mężczyzna znalazłby się w ułamku sekundy na podłodze. Obezwładnianie gospodarza nie wydało jej się jednak zbyt dobrym rozwiązaniem w tej sytuacji. Jego opanowanie miecza wskazywało także na to, że wcale nie musi być najłatwiejszym przeciwnikiem więc powstrzymała się i postanowiła poddać się jego lekcji tenisa. Musiała też przyznać sama przed sobą, że pociągał ją erotycznie. Tak, pociągał ją fizycznie i mentalnie. Nie może jednak zbyt szybko i zbyt łatwo dać mu się podejść. Dlatego nie powie mu o sobie zbyt dużo, nie, na razie nie. Wciągnie go w pułapkę, w której on będzie się puszył i puszył coraz bardziej, a ona poudaje słodką idiotkę i w końcu zaskoczy go swoją znajomością tematyki białej broni i sztuk walki. Tak, pobawi się z nim kilka minut zanim zetnie kosmyk włosów z jego bujnej, czarnej czupryny.

– Był w Ameryce taki Polak, który zamordował dwieście osób przez ileś tam lat. Oglądałam o nim film. Najbardziej lubił dusić swoje ofiary, ale niezależnie od tego czy dusił je, czy strzelał do nich, prawdziwą satysfakcję odczuwał patrząc im prosto w oczy, jak gasną, zastygają, robią się szkliste...

– Tak..., zadając mu rozszerzającymi się źrenicami pytanie „dlaczego?”, na które nie będą już miały okazji usłyszeć odpowiedzi. – dokończył za nią tuż nad jej uchem. - Niesamowite, zabić własnoręcznie, w państwie o normalnie funkcjonującym systemie prawnym dwieście osób i nie dać się złapać przez dwadzieścia lat. Nikt go nie pokonał do tej pory. Oglądałem ten dokument. Prawdziwe wyzwanie...

– Nie chcę przeszkadzać, ale kolacja podana. – Usłyszeli za plecami głośny szept Krystyny, która wsunęła głowę w szparę pomiędzy drzwi i framugę. – Nie za wcześnie rozpoczęliście zwiedzanie sypialni? Jestem zazdrosna i nieśmiało dopytuję cię kochany czy na pewno w ten sposób miał wyglądać scenariusz dzisiejszego wieczora? – Dodała z uśmiechem, aczkolwiek marszcząc brwi z lekką dezaprobatą na widok męża przylgniętego do pleców Kamili i trzymającego w swoich jej dłonie obejmujące rękojeść miecza, który stanowił ich rodzinną świętość.

– Idziemy! Proszę, pani przodem. – Lekko dotknął jej lędźwi kierując w stronę wyjścia, sam pozostając w sypialni i skupiając się na schowaniu miecza do pochwy i odłożeniu go na stojak.

– Zawsze lubił rude. Twierdzi, że są bardziej namiętne od blondynek, aczkolwiek daleko im do brunetek. – Dodała sugerując całą swoją postawą i mimiką, że traktuje swój komentarz do całej sytuacji, jako kwitujący żart.

– Być może panowie będą mieli dzisiaj możliwość porównania, jeśli kolacja okaże się równie smaczna, co jej zapowiedzi. – Kamila wcale nie zamierzała przejść nad żartem Krystyny do porządku dziennego. – Jak na razie, twój mąż chybił swoją drogocenną zabawką mojej szyi, straciłam kosmyk włosów i nie wiem czy dam mu drugą szansę machania swoim mieczem przede mną.

– Możesz się nie obawiać o jego celność, zaopiekuje się twoją głową w odpowiedni sposób jeszcze dzisiaj, ale teraz proszę usiądź tutaj, na wprost okna, byś mogła sycić swoje oczy promieniami zachodzącego słońca. Zawsze powinniśmy nosić w sobie dużą dozę niepewności czy słońce podniesie się ponownie kolejnego ranka. David Hume pisał o tym. Interesujesz się filozofią?

– Ja nie, ale miałam kochanka filozofa, stąd rozpoznałam tytuł książki, z której Piotr wyrwał kartkę, aby mi zademonstrować ostrość swojej broni...

– Żartujesz?! Zniszczył moją książkę? Którą? Tylko nie Milla! – Krystyna wybiegła do sypialni omal nie wywracając w drzwiach Mateusza, który stał oparty o framugę w pozycji dość niestabilnej, opierając ciężar ciała na jednej tylko nodze i przysłuchiwał się wymianie zdań pomiędzy kobietami.

– Kochanie, nie wiedziałem, że zadawałaś się z filozofami? Który to był? – Mężczyzna cały czas był zły o to, że żona zadawała się z obcymi mężczyznami poza jego plecami. Co innego jeśli robiła to przy nim, sprawiało mu to nawet przyjemność, ale robienie tego poza nim budziło jego niechęć i wściekłość.

– Potem ci opowiem.

– Teraz.

Krystyna wpadła do salonu jak tajfun, zakręciła się wokół stołu, rzuciła w lewo i w prawo.

– No ładnie, wyrwał stronę tytułową z mojego Milla. A niech to, a teraz się kryje gdzieś w domu ze strachu. Już ja z nim porozmawiam jak wyjdziecie. – Krystyna przerwała im wymianę zdań.

– Piotr! Bestio! Chodź tutaj, później porozmawiamy o twoim poszanowaniu dla moich rzeczy, a teraz przyjdź na kolację! – zaczęła go wołać.

– Idę, idę. Przepraszam. Zrobiłem to pod wpływem impulsu, wiesz, że czasem nie myślę, tylko działam. – Wychynął z korytarza ze skruszoną miną.

– Wiesz doskonale, że moje książki są dla mnie święte. Wiesz o tym. Później jednak o tym porozmawiamy, odkupisz mi za tą jedną wiele innych, a teraz zajmijmy się gośćmi. Niedobry, niegrzeczny, duży chłopcze! – Skarciła go po raz ostatni i odwróciła się w kierunku Kamili i Mateusza. – A zatem zaczynamy kolację, proszę o zajęcie miejsc, Kamila wie których, przodem do okna. Krystyna wskazała gościom miejsce, po czym sama zajęła miejsce naprzeciw Piotra.

Rozpoczęli od skosztowania sałatki ze świeżych, szczawiowych liści, okraszonych pokrojonym w kostki i podsmażonym serem halumi i posypanych prażonymi ziarnami pinii. Była wyśmienita, Kamila wypytywała o szczegóły jej przyrządzenia, Piotr dolewał wina i atmosfera się stopniowo coraz bardziej rozluźniła. Przystawka z ostryg skropionych cytryną lub do wyboru tabasco zaostriżyła smak na danie główne, które zostało podane o zachodzie słońca, widocznym ponad linią krzewów.

W pomieszczeniu rozszedł się delikatny aromat, który uniósł się sponad półmiska z równo ułożonymi cienkim plastrami duszonego mięsa, polanego sosem własnym, każdy kawałek wraz z podsmażonym liściem szałwii i dwoma owocami żurawiny. Puree ziemniaczane dopełniało kompozycji smaku.

– Czy to cielęcina? Nie mogę rozpoznać rodzaju mięsa. – Kamila po pierwszym kęsie skierowała pytanie do Krystyny.

– Nie... Coś dużo delikatniejszego. – Ta uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jagnięcina nie... Struś? Sarna? – Kamila pytała dalej.

– Nie, nie, nie... Chyba nie zgadniesz. – Krystyna z rozmysłem delectowała się kolejnym kawałkiem i pytaniami Kamili równocześnie. – Ludzie to jedzą bardzo rzadko.

– Pies, pingwin, wieloryb? – Kamila najwyraźniej straciła koncept.

– Psy są jadane przez największy naród świata, pingwiny nie wiem, może przez Eskimosów, a wieloryby są pod ochroną. Nie dojdiesz co to jest, ale powiem Ci po kolacji.

– A teraz na lepsze trawienie po kieliszku wytrawnej grappy podgrzanej z ziarnem kawy lub do wyboru owoc liczi w słodkim likierze i espresso? – Piotr przerwał tę wymianę zdań, wnosząc na tacy ostatni akord posiłku.

* * *

Kamila ocknęła się z dotkliwym bólem głowy. Usiłowała jej dosięgnąć dłońmi, lecz jej ręce były, jak się szybko zorientowała, skrępowane kajdankami przypiętymi metrowej długości łańcuchem do stalowego kółka, wiszącego na ceglany murze. Odruchowo zerknęła na zegarek: dochodziła szósta. Rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w czymś w rodzaju dawno nie używanej obory lub chlewu. Leżała na podłodze ułożonej częściowo z cegieł, częściowo z kamienia. Podciągnęła się bliżej do ściany, aby zluzować łańcuch i obmacała swoją głowę, była cała. Z trudem zaczęła przypominać sobie przebieg kolacji u Krystyny i Piotra. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała był Mateusz powoli smakujący kieliszek grappy podgrzanej z ziarnem kawy. Mateusz! Właśnie, gdzie jest Mateusz? Teraz dopiero dostrzegła wpatzonego w nią męża. Siedział na skrzyżowanych nogach pod ścianą kojca dla zwierząt położonego po drugiej stronie wąskiego korytarza, z rękoma również przykutymi do ściany.

– Kochanie, przepraszam... – jego głos był przerażająco bezbarwny i pozbawiony nadziei na znalezienie wyjścia z sytuacji. – Najwyraźniej wpadliśmy w ręce jakichś szaleńców. Uśpili nas i uwięzili i nie wiadomo po co. Nikt nie wie gdzie jesteśmy. Od początku coś mi nie pasowało w tym wszystkim. A teraz jest za późno, za późno... Nie wiem jak to się skończy, ale chcę, żeby wiedziała, że cię kocham...

– CO TY OPOWIADASZ?! – krzyknęła na niego. – Co to za brednie? I jak to nie wiesz jak to się skończy? Zaraz to wyjaśnimy co to za głupie żarty. Mogę zrozumieć, że mają jazdę

na jakieś sado-macho, niewolenie i krępowanie, ale bez przesady! Nie bez naszej wiedzy i zgody! Poza tym muszę jechać do pracy, chociaż nie, dzisiaj jest chyba niedziela... Ale to nie ma znaczenia!

– Skoro zadali sobie tyle trudu by nas uspić jakimś świństwem, to nie wiem co nas czeka. Nikt nie wie gdzie jesteśmy, my sami nie wiemy, bo to miejsce jest za duże na to, aby mogło zmieścić się w ich ogródku. Chyba nas gdzieś wywieźli. – Mateusz rozglądając się po oborze, z trudem podniósł z ziemi i przysunął do wysoko umieszczonego otworu okiennego pozbawionego szyby. – Widać zabudowania jakiegoś gospodarstwa i pola po horyzont. Kochanie, kocham cię, ale to mi dobrze nie wygląda, oni nas najwyraźniej gdzieś wywieźli. Sama zobacz, masz okno nad głową.

– Wywieźli nas. Skurwysyny wywieźli nas! – Kamila stwierdziła nieco mniej spokojnym głosem, gdy wykonała wysiłek podniesienia się z ceglanej podłogi i wyjrzała przez otwór okienny najbliższy do jej miejsca przykucia. – Musimy się uwolnić i dać im popalić. Spuszczę im wpierdol tak, że popamiętają, urwę łeb i nasram do środka! Teraz pomyślmy tylko jak się stąd uwolnić, kurwa, więc rozejrzyjmy się trochę i coś wymyślmy. Rusz mózgowicą do cholery!

Kamila szarpnęła łańcuchem i rozpoczęła koncert przekleństw i wyzwisk pod adresem pary, która ich uwięziła i całej tej sytuacji. Mateusz usiłował początkowo prosić ją, żeby przestała, że go to męczy, aby po chwili dołączyć do niej. Wylewali na swoich prześladowców wiadra pomyj, prześcigając się w przekleństwach najbardziej dosadnych. Wiedzieli, że albo przyniesie im to ulgę i da energię do działania, albo zaczną oskarżać siebie nawzajem o doprowadzenie do całej sytuacji, w której się znaleźli. Tego zaś oboje chcieli uniknąć. Seria oskarżeń, wypowiedzenie tkwiących gdzieś głęboko i nawarstwionych przez ostatnie lata pretensji, rozdrapanie zabliznionych umiejętnymi negocjacjami ran wywołanych niedawnym kryzysem, wylanie tłumionych negatywnych emocji, mogłoby doprowadzić do rozpadu ich małżeństwa. W sumie przyjmowali taką ewentualność, ale nie teraz, kiedy tkwili przykuci łańcuchami do ściany w jakiejś oborze.

– Już się rozglądałem jak byłaś nieprzytomna i nic nie wymyśliłem. Kajdanki, łańcuch, wszystko solidne i żadnych narzędzi w zasięgu. Musimy poczekać na nich i rozmawiać. Im bardziej będziemy się złościć, tym bardziej ich to będzie grzało. Lepiej zachowajmy spokój i

dowiedzmy się o co im chodzi. Kochanie, zachowajmy spokój proszę. – Mateusz usiłował argumentować rzeczowo, chociaż jego załamany głos świadczył raczej o tym, że funkcjonuje na granicy paniki.

– Z jednej strony masz rację, bo takich świrów podnieca jak wierzgasz. Zupełnie jak kota, który nie zabija ofiary, tylko się nią bawi zamęczając powoli. Oglądałam kiedyś taką scenę, jak kot puszczał z pazurów coraz słabszą mysz i po chwili ją łapał, gdy tylko ledwo powłócząc kończynami odbiegła na kilkadziesiąt centymetrów. Chcesz byśmy zachowali obojętność. Zwierzęta tak robią i udają martwe, wywalając podbrzusze do góry. Tylko czy na nich takie tanie chwytły zadziałają? Może lepiej na nich się wydrzeć i asertywnie im oświadczyć, że nas to nie bawi?

– Mamy za mało danych, nie wiemy o co im chodzi. Kto to jest. Czego od nas tak naprawdę chcą.

Słońce na zewnątrz podnosiło się coraz wyżej, zapowiadając kolejny ciepły sierpniowy dzień. Do pomieszczenia zaczęło wpadać coraz więcej światła, w jego promieniach zaczęli dostrzegać coraz więcej szczegółów. Obora składała się z dziewięciu boksów dla zwierząt, symetrycznie rozmieszczonych względem osi drzwi wejściowych i odgradzonych od siebie wysokimi na półtora metra ściankami z ażurowo ułożonych cegieł. Drewniane wejścia do boksów zostały z nich usunięte tak, że więźniowie, pomimo, że zostali przykuci do ściany w przeciwnych kojcach, mogli swobodnie się widzieć i komunikować. Wychylając się widzieli cały korytarz między boksami, był podobnie jak kojce, pusty i wymieciony. Żadnych przedmiotów, jedynie cegły i kamień.

– Wiedziałem, że nas wpakujesz w kłopoty. To ty pierwsza zaczęłaś zabawiać się na boku i wprowadziłaś innych do naszego życia.

– Kochany, ty o tym nie wiedziałeś i robiłeś dokładnie to samo, tylko zaczęłeś nieco później. Co to ma zresztą za znaczenie? Oboje jesteśmy tak samo winni, a teraz musimy sobie jakoś poradzić z tą całą sytuacją. Może wpadłbyś na jakiś pomysł uwolnienia nas stąd zamiast szukać winnych?

– Zmieniasz temat...

– Jaki temat?! Zmieniam temat?! Kurwa, jesteśmy w opresji! Rozumiesz to? W opresji zagrażającej naszemu życiu! Zaraz kurwa te debile coś nam zrobią, a ty uprawiasz akademickie dyskusje. Kurwa!

– Nie przeklinaj...

– Kurwa! Kurwa! Kurwa...

Drzwi do obory zaskrzypiały. Usłyszeli miarowy, a jednocześnie powolny stukot obcasów o posadzkę. Ich oczom ukazał się obuty w kowbojki Piotr. Wniósł jakieś pakunki, które zrzucił w kojcu obok boksu Mateusza tak, że Kamila widział i Mateusza i pakunek. Stukając obcasami przeszedł kilka kroków i stanął nad głową jej męża, ale patrzył na Kamilę. Tuż za nim przydreptała Krystyna i stanęła dokładnie w połowie drogi pomiędzy nimi. Na jej twarzy pełzał ni to szyderczy ni to lekko głupawy uśmieszek. Jej oczy wyraźnie błyszczały z podniecenia. Swoim spojrzeniem obdarzała raz jedno raz drugie.

– No to jesteście ciekawi wyroku, co? He he – Roześmiała się niecierpliwym, pospiesznym, nieco zbyt prostackim, jak na jej intelektualne zacięcie, śmiechem.

Ale Mateuszowi i Kamili wcale nie było do śmiechu. Słowo „wyrok” zmroziło ich, a szaleństwo, które dostrzegli w oczach Krystyny – przeraziło. Milczeli drżąc. Bali się wypowiedzieć cokolwiek, co mogłoby to wewnętrzne drżenie wyrazić na zewnątrz i sprawić, że staliby się przezroczyści. Taka świadomość bycia przezroczytym, bycia na patelni, natychmiast wywołałaby brak autokontroli, a w efekcie beład wypowiedzanych słów, poczucie poniżenia i najgorsze co mogłoby się zdarzyć - błaganie o litość napotykaną na szyderczy śmiech, lżenia i przeklinania tych, którzy poddali ich w niewolę. Bo to, że zostali zniewoleni, to w tym momencie rozumieli bardzo jasno i wyraźnie.

– Wyrok zwykle związany jest z karą, a ta z wcześniejszym przestępstwem – Kamila opanowała jako pierwsza odruch przerażenia i podjęła próbę racjonalnej rozmowy.

– Nie tym razem kochana. – Krystyna nie podjęła wyzwania, a raczej podjęła i natychmiast je rozbiła skuteczną ripostą. – To jest wyrok za niewinność.

– Niewinność? Ależ ja bynajmniej nie jestem niewinna. – Kamila szukała jakiegokolwiek punktu zaczepienia, niekonsekwencji, czegokolwiek, na czym mogłaby oprzeć rzeczową rozmowę, logiczny wywód, racjonalne myślenie.

– Tym bardziej należy się wyrok. – Krystyna pozornie podjęła wyzwanie. – A więc co moja droga przeszkrobałaś oprócz tego, że podrywałaś mojego mężczyznę?

– Ano właśnie! Zdradzałam, kłamałam, przeklinałam, byłam egoistką... – Kamila zorientowała się, że dała się wciągnąć w sidła zastawione przez samą siebie i gwałtownie przerwała. – To bez sensu. Kurwa mać! Bez sensu! Najpierw mnie usypiasz jakimś świństwem, przykuwasz do ściany w jakimś zatęchłym chlewie dziwko jedna, a następnie zmuszasz do spowiedzi.

– Ja cię zmuszam? – Sama ptaszku w klatce chcesz nam wyśpiewać, więc wyśpiewujesz swoje wszystkie grzeszki, przewiny i grzechy. No już, wyznawaj, haha..., wyznaj mężowi i nam swoje przestępstwa przed wykonaniem wyroku, bo ten już zapadł, brakuje nam tylko uzasadnienia.

– A no właśnie! – Kamila w końcu złapała Krystynę w zastawianą pułapkę logiki. – Poszukajmy uzasadnienia! Powiedzcie jaki jest wyrok, ja wyznam moje grzechy i ocenimy, czy wyrok jest współmierny do winy.

– I czy wy jesteście instancją, która może wymierzać karę. Kto wam dał do tego prawo? – Wtrącił się Mateusz.

– Pozwólcie, że wam wytłumaczę. – Piotr postanowił przejąć inicjatywę. – Czy smakowała wam kolacja? Wino? Przystawki? Danie główne? Zachwycaliście się delikatnym mięsem, pamiętacie? Nie potrafiliście odgadnąć co to za zwierzę stało się źródłem rozkoszy waszego podniebienia. Tak... Trudno było zgadnąć.

– A co do cholery ma rodzaj mięsa z tym, że nas tutaj więzicie? – Mateusz zadał naturalnie nasuwające się w tym miejscu i spodziewane przez Piotra pytanie.

– Ano właśnie. Między mięsem i wami tutaj istnieje ścisła więź. Zupełnie taka, jak pomiędzy wami i waszymi poprzednikami, również poznanymi przez nas na czacie, którzy

również zjedli potrawę ze swoich poprzedników, a ci jeszcze wcześniejszych poprzedników, ilu ich było Krystyna?

– Sześć par. Jesteście siódmą parą, którą zje ósma para. – Krystyna nie opanowała szyderczego tonu w głosie. Zapadła cisza. Kamila rozchyliła usta patrząc błagalnie na Piotra. Mateusz wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w Krystynę. Brwi unosiły mu się coraz wyżej, aż do momentu, gdy niemal zetknęły się z linią włosów.

– Co?! Czy was pojebało?! Czy was kurwa pojebało?!... – W końcu wykrzyknął. Ale cisza trwała nadal.

– Żartujecie. – Kamila wyszeptała przez ściśnięte gardło. – Jedliśmy ludzkie mięso, a teraz chcecie nas zabić i dać do zjedzenia innym ludziom na proszonej kolacji? Nie wierzę w to. To jest żart. Nie złapiemy się na tę grę.

– No właśnie, to żart! – Mateusz uchwycił się tej myśli jak deski ratunku. – OK. Pobawiliście się z nami, a teraz koniec tej gry. Wystraszyliście nas. Cel osiągnięty. Możecie nas już uwolnić. Żartownisie z was. Dobrze. Macie takie zboczone żarty, podnieca was nasz strach. Dobrze, osiągnęliście swój cel, wystraszyliście nas, ale teraz już odkryliśmy, że to zabawa i przestało być zabawnie...

– Przymknij się durniu. – Syczący głos Piotra zabrzmiał twardo. – Traktuj to jak chcesz, a i tak za kilka chwil zginiesz. Mnie natomiast interesuje inne drobne odstępstwo od dotychczasowych naszych rytuałów.

Piotr obrócił się w kierunku Kamili, leniwie, jakby od niechcenia uczynił kilka kroków i z głębokim westchnięciem przykucnął przy niej. Patrzył prosto w jej zielonkawo-piwnie oczy, szeroko otwarte, nieruchome, wilgotne.

– Mam ochotę najpierw skonsumować seksualnie twoje ciało, zanim zjem twoje mięso...

Krystyna zareagowała natychmiast głębokim oburzeniem.

– Co? Czy cię pogięło? Mieliśmy ich zjeść, a nie rznąć! Łamiesz reguły, no i jak śmiesz zachwycać się inną kobietą, w dodatku w mojej obecności! Zresztą nie ważne czy w mojej czy nie w mojej. Jestem tobą załamana!

– Przewidziałem, że nie będzie ci się to podobało.

Mężczyzna wstał, podszedł kilka kroków do boksu, w którym złożył przyniesione pakunki, sięgnął po jeden z nich i błyskawicznym ruchem wyrzucił go w kierunku Krystyny. Była to siatka na ryby używana przez rybaków na płytkich wodach w jednym z egzotycznych krajów. Okrągła o średnicy około trzech metrów z obciążnikami dookoła i sznurem przywiązanym do jej środka. Krystyna nagle znalazła się w sieci. Zanim wykonała pierwsze szarpnięcia w celu oswobodzenia się, Piotr podbiegł do niej i owinął ją liną, złapał w pół i przyciągnął do muru. Zręcznie zakuł na jej nadgarstkach kajdanki nie zważając na to, że są częściowo owinięte siecią i przykuł do jednej z wystających ze ściany zardzewiałych obręczy. Wyglądała przekomicznie owinięta siecią i kajdankami, ale jej wcale nie było do śmiechu. Czuła, że się dusi, że jest zniewolona i to przez kogo. Przez własnego męża, który w ciągu sekundy ze współnika stał się wrogiem.

– Co ty robisz, ty gnoju jeden! Nie ujdzie ci to płazem! Mam ciebie dosyć, natychmiast mnie uwolnij, zostawiam cię i jadę do swojego domu, a ty sobie rób tutaj z nimi co chcesz w waszym pierdolonym trójkąciku, skoro ci nie jestem już potrzebna! Ty mi też cymbale! Natychmiast mnie uwolnij!

– Zamknij dziób kochanie bo cię zakleję taśmą. Masz tu być i patrzeć jak będę posuwał Kamilę. Chcesz taśmę? Zakleić cię?

– Gnoju jeden spróbuj tylko! Natychmiast mnie uwolnij! – Jej głos słabł. Czuła się zniewolona i wołała nie ryzykować zakneblowania. Zresztą. Nie zależało jej już na nim tak bardzo jak kiedyś. Może nawet już wcale. Byle się wydostać z tej sytuacji i kopnąć go. Pozbyć się go i działać dalej w pojedynkę. Dodała już zatem słabiej, raczej do siebie niż do niego – Rób co chcesz debilu, ale musisz wiedzieć, że z nami koniec.

Lecz Piotr już tego nie słyszał. Skupiony podszedł do Kamili i ukucnął na wysokości jej bioder. Wyciągnął dłonie w kierunku twarzy kobiety i nie dotykając zaczął ją głaskać w powietrzu. Na policzkach czuła ciepło jego palców odległych o kilkanaście milimetrów od skóry.

– Mam propozycję. Uwolnij mnie i pokonaj w walce. Jak mnie pokonasz, to będziesz mógł ze mną zrobić co chcesz.

– Ha ha. – Piotr zaśmiał się i opuścił dłonie. - Teraz też mogę zrobić z tobą co zechcę. Poza tym nie wiem skąd Twój pomysł, że możesz mnie pokonać? Jestem silniejszy. Mam broń. Chyba nie sądzisz, że nie zabrałem z sypialni moich mieczy? Tak, są tutaj i czekają na was... na ciebie...

– Nie sądzę, bym była w stanie cię pokonać. Jednak wolę być zgwałcona i pobawiona życia z godnością. Walcząc, a nie skrępowana jak prosiak. Chyba, że ty wolisz i podoba ci się taki rodzaj dominacji. Znęcanie się nad niewolnikiem bez szansy na obronę. – Słuchał, więc mówiła dalej. – Jeśli wolisz pieprzyć kukłę w kajdankach no to do dzieła, zrób to byle szybko ogierze. Z pewnością boisz się zadyszki, której dostałbyś ganiając za mną z szabelką po stajni. Twój samurajski miecz pięknie wygląda na stojaku w sypialni. Dla nas przyszykowałeś rzeźnicki nóż? Obuch siekiery? Samuraj w marzeniach, w rzeczywistości rzeźnik?

– Nisko mnie cenisz. Popatrz moja droga, co przyszykowałem dla was i dla niej. – Piotr skinął przeciągle głową w kierunku owiniętej siatką Krystyny, podniósł się i podszedł do pakunku, który wniósł wcześniej do stajni. Rozwinał na podłodze czarny materiał i ich oczom ukazała się kolekcja trzech mieczy, które Kamila tak dobrze знаła z sypialni Piotra i Krystyny.

– Ty debilu! Chyba nie chcesz mnie zabić kretynie. – Krystyna zaczęła się szarpać w więzach.

– Cicho siedź bo cie ogłuszę. – Piotr warknął w jej kierunku. – Mam jeszcze pałkę bejsbolową. Mogę ci nią przyłożyć w głowę i cała ta twoja filozofia wytryśnie z niej wraz z krwią.

Krystyna otworzyła szerzej oczy i zamilkła. W jej powiększonych źrenicach zaczął kiełkować strach i przerażenie. Panika powoli wkradała się w jej trzewia i wraz z zatrutym nią osoczem poczęła docierać do wszystkich zakamarków jej ciała. Popatrzyła na Mateusza i zadziwił ją jego spokój. Siedział lekko pochylony do przodu jakby na coś czekał. Jego spokój zaczął się jej udzielać. Skierowała wzrok za jego spojrzeniem. Patrzył na Kamilę. Ale bez strachu. Z nadzieją. Skąd do cholery nadzieja? Wszyscy skrępowani a jej nienormalny kretyn mąż napalony jest na gwałcenie i zabijanie. Uzbrojony w mega ostre narzędzia. Skąd w Mateuszu taki spokój? Czyżby wiedział o czymś czego ona nie wie? O czym?

– Widzisz Kamila, jest jeden problem. Ja się z tobą chcę kochać, a nie bić. Poza tym, gdybym zrobił ci krzywdę, to nie byłabyś pełnowartościowa. Ale rozumiem. Masz nadzieję, że mnie pokonasz i uwolnisz siebie i ich. Zastanawiam się jednak nie czy, ale jak to zrobić i dochodzę do wniosku, że żeby cię nie uszkodzić, to zrobimy to wręcz, w tym kojcu. Ja stanę u jego wejścia, a ty będziesz próbowała uciec. Ja się będę do ciebie zbliżał, a ty będziesz chciała mnie ominąć. Podnieca mnie to. Twoja nadzieja, walka, szarpanie i to, co się stanie jak już osłabniesz z sił. Uległość? Tak zrobimy.

Podszedł do niej i chwycił za włosy, jednocześnie delikatnie i mocno tak, aby dać jej odczuć, że nie zniesie w tym momencie żadnego sprzeciwu, a następnie rozkuł ją z kajdanek wyciągniętych z kieszeni kluczem. Szarpnął ją z ziemi na tyle gwałtownie, że zakręciło się jej w głowie i postawiwszy pod oknem, odstąpił kilka kroków do tyłu, aby przez dłuższą chwilę podziwiać jej sylwetkę w padającym świetle. Kamila odzyskała równowagę i opanowała zawroty głowy. Zaczęła miarowo oddychać wciągając nosem powietrze aż do przepony i napędzając energią położony poniżej pępka ośrodek siły. Nie chciała, żeby to zobaczył, więc robiła to bardzo ostrożnie. Na szczęście zlekceważył ją po raz kolejny i patrzył na nią pod światło.

– Jesteś piękna. – Piotr wyszeptał. – Myślę, że moglibyśmy ich zjeść i razem kontynuować zabawę, ale całe nieszczęście polega na tym, że nawet jakbyś teraz przytaknęła temu pomysłowi, to i tak nie mógłbym uwierzyć w twoje zapewnienia.

Kamila milczała nie chcąc marnować sił na rozmowę, tylko pompowała w siebie energię miarowym oddechem. Czekwała na jego ruch, oddalona plecami o pół metra od ściany i dokładnie wiedząc co chce zrobić jak tylko się zbliży do niej na odległość wyciągniętej dłoni, nie wiedziała tylko w jaki sposób sprowokować go, aby uczynił to na tyle dynamicznie, żeby mogła wykorzystać, stosując technikę aikido, maksymalnie jego energię przeciwko niemu. Rozglądnęła się i na podłodze dostrzegła kawałek trzonka od wideł. Podniosła go z ziemi i wykonując jak najbardziej nieudolne ruchy rzuciła go w jego kierunku trafiając go nim prosto w twarz. Krzyknął łapiąc się za nos. Był wściekły i ruszył w jej kierunku.

– Ty suko! Myślisz, że ci to ujdzie płazem, chyba do tej pory nikt nie spuścił ci porządnie manta...

W tym momencie Kamila uczyniła lekki krok do przodu i w bok i wykręcając jego wyciągniętą rękę w wielokrotnie trenowanej technice *kote geaeshi*, skierowała cały jego ruch i impet w kierunku ściany, która była za nią. Lewą ręką wykręciła mu dłoń a prawą docisnęła w powietrzu łokieć tak, że nic nie mógł uczynić lecąc z impetem na twardą ceglana ścianę. Uderzenie go ogłuszyło, miał rozbity nos i podrapaną twarz, charczał krwią z wściekłością, dziko i gwałtownie. Kamila mogła sprowadzić go teraz do parteru i unieruchomić na ziemi w obezwładniającym uchwycie, obawiała się jednak, że mogłaby nie dać rady złamać mu nadgarstka. Piotr był silnym mężczyzną, znającym sztuki walki i jeżeli nie przekosiłaby mu ręki, to w końcu uwolniłby się z uchwytu. Postanowiła więc wykorzystać jego wściekłość i zaryzykować to, że rzuci się na nią, co pozwoli zastosować jej ulubioną technikę *irimi naga*. Teraz on był pod ścianą, a ona przy wyjściu z kojca. Nie pomyliła się, Piotr podniósł się z kolan i z impetem rzucił się w jej kierunku. To wystarczyło. Trafił grydką prosto na jej wyprostowaną dłoń, która dopełniona ruchem biodra spowodowała, że tracąc całkowicie oddech z wyrzuconymi do góry nogami i rękoma, całym ciężarem ciała upadł na podłogę. Jego głowa głucho uderzyła o kamień. Kamila wiedziała, że jego zamroczenie może nie potrwać długo więc dwoma błyskawicznymi skokami dopadła pakunku z mieczami. Jednym ruchem podniosła z podłogi średni miecz i najkrótszy sztylet. Teraz była panią sytuacji, wiedział, że umiejętności Piotra są niemałe, ale przynajmniej szanse były wyrównane. Powolnym ruchem wstała i podeszła do wejścia do boks, w którym leżał jej powalony na ziemi wróg.

– Myślę, że zakończysz sprawę jak należy? – Położyła przed nim najkrótszy z mieczy. – Niestety ci nie pomogę, bo ci nie ufam.

Czasem Samurajowie pomagali sobie nawzajem w pozbawieniu się życia, klękając za tym, który miał tego dokonać i wbijając razem z nim ostrze sztyletu w brzuch.

– Chyba żartujesz sobie ze mnie suko! Nie doceniłem cię, ale daj mi katanę, a pokażę ci jak się walczy, chociaż sztyletem też cię pokonam żmijo, być może nauczyłaś się kilku chwytów w walce wręcz, ale patrzę jak trzymasz ten miecz i pusty śmiech mnie ogarnia, że masz jakąkolwiek nadzieję na przeżycie. – Zaśmiał się pogardliwie wydymając rozbite i umazane krwią usta i podniósł z ziemi tanto. – Trzymasz ten miecz jak młotek.

– Skoro mam zginąć, to zgadzam się, żebyś wziął katanę. – Kamila zaskoczyła go totalnie taką propozycją. Nie zdawał sobie sprawy, że miała w tym swój cel. Wiedziała, że cięższym

mieczem będzie mu trudniej operować, a ona dzięki krótszemu osiągnie większą dynamikę ruchu. Średni miecz pozwoli uzyskać jej lepszą pozycję do ataku. Instynktownie realizowała tradycyjną taktykę, gdzie walka tak naprawdę rozgrywa się przed wyprowadzeniem jedyne go i kończącego starcie cięcia. Wybranie właściwej pozycji i taktycznej przewagi nad przeciwnikiem zanim zostanie wyprowadzony cios daje zwycięstwo. Średni miecz wakizachi umożliwiał jej, jako mniejszej i drobniejszej od Piotra, na bardziej dynamiczne wejście pod niego, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że walka i tak nie będzie równa. Wcześniej ją zlekceważył, ale czy uczyni to ponownie? Odpowiedź na to pytanie miała paść wcześniej niż się spodziewała.

– Idę po katanę, ustąp mi drogi. – Piotr wyprostował się a ona, udając przestraszona, odskoczyła w bok. Mężczyzna przezornie wziął do ręki tanto i z ostrzem skierowanym w jej stronę obszedł ją dookoła. Popęłnił jednak swój trzeci i ostatni, kardynalny błąd. Zamiast wyjść z boksu tyłem, przed samym progiem zaczął zwracać się do wyjścia przodem, a tyłem do Kamili. Nie mogła przespać takiej okazji i instynkt przetrwania zwyciężył w niej nad kurtuazją. Piotr kątem oka dostrzegł, jak Kamila zsunęła lewą dłoń w dół rękojeści po to, aby zgodnie z najlepszą sztuką prawidłowego trzymania miecza, uchwycić sam jej koniec dwoma małymi palcami. W tym momencie Piotr uświadomił sobie, że ma do czynienia z profesjonalistką. Prawa dłoń kobiety, dotychczas trzymająca miecz jak młotek rozluźniła uchwyt, pełniąc od tej pory rolę lekko podtrzymującą i kierującą ostrzem. Gdy zrozumiał, że Kamila trzyma miecz w górze i zaraz przetnie go jak on wczoraj kosmyk jej włosów, instynktownie zaczął obracać się z powrotem w jej stronę podnosząc do góry uzbrojoną dłoń. Nim zdążył jednak wykonać obrót, uświadomił sobie co widzi. Dzielili ich trzy metry, które Kamila przemierzała drobnym, ale szybkim krokiem. Z jej ust wydobywał się przerażający okrzyk, pochodzący z głębi jej trzewi i jestestwa, wyduszony przeponą, przesączający każdą komórkę jej ciała i przesywający wszystko wokół; poruszający pozostałości ściółki i słomy walającej się tu i ówdzie, brzęczący w przerdzewiałych stalowych łańcuchach, wybrzmiewający w ceglach i kamieniach i rezonujący w wypełnionym, wpadającym przez otwory okienne, południowym światłem, lekko zakurzonym letnim, pachnącym starym budynkiem i pozostałościami odoru zwierząt, które tu niegdyś hodowano, powietrzu. Piotr zamarł wpatrzony w sam czubek uniesionego miecza, widział w nim całą energię wydobytą z jej drobnego ciała i zanim sobie uświadomił ile razy na treningach słyszał, że tak właśnie należy skupiać całą moc w walce, oślepił go promień słońca

odbity przez mgnienie oka w stalowym ostrzu, a oczy zalała krew, która wytrysnęła z jego rozciętej szyi, barku i korpusu i stracił na zawsze oddech.

Bez życia osunął się na podłogę, zanim przebrzmiał okrzyk Kamili i zapadła cisza.

* * *

Agnieszka i Jacek weszli na czat po raz pierwszy. Nieśmiało i niewprawnie reagowali na mniej lub bardziej wulgarne zaczepki, ale jedna z nich ich zaintrygowała.

– „Cze! Lubicie wykwintne potrawy równie mocno jak seks?” – w tym momencie odrzucili wszelkie inne rozmowy prywatne i skupili się na tej jednej. Odpowiedzieli.

– „Cze! Wszystko zależy od kucharza.”

– „Trafiliście na najlepszych kucharzy. Pytanie, czy macie na tyle wyrafinowany smak by to docenić?” – po drugiej stronie Kamila i Mateusz konsekwentnie prowokowali pod nickiem „kolacja z parą II”...